

Nr. 2

# 6 SWIAT

8-1 1927



szaruta 1926



# KREM i PUDER *Velma*

Symbol młodości i urody



## HUMOR ZAGRANICZNY



— Mój Boże, jak te dzieci prędko rosną.  
Tak niedawno jeszcze nosiła długie sukienki!  
(Prager Presse)

## ZE ZMARSZCZKAMI

piegami, podbródkami i złą cerą pań nie będzie.  
Panie, chcące pozbyć się zmarszczek, piegów,  
podbródków, mieć naprawdę ładną cerę, la-  
będzia szyję i klasyczny owal twarzy, po-  
fatygują się od 11 do 5; pracujące  
panie w niedzielę od 2 do 7-ej

HOŻA 41 — 7. PADEREWSKA ZOFJA LUDWIKA

## GILZY PATENTOWANE

## „DWUWATKI“

Fabryki „Sokół” w Warszawie, Leszno 108

Całkowicie zabezpieczają organizm palaczy przed  
szkodliwą dla zdrowia nikotyną.

— ŻĄDAĆ WSZĘDZIE! —



Wody kwiatowe, perfumy, puder i mydło

## Od Administracji

W celu unormowania nakładu uprzej-  
mie prosimy PP. Prenumeratorów  
o jaknajwcześniejsze wpłacenie na-  
leżności za prenumeratę „Świata”  
za miesiąc styczeń lub kwartał 1-szy,  
gdyż z dniem 15-tym stycznia wysyłka  
pisma zostanie wstrzymana



ROK  
XXII

## ŚWIAT

No  
2

WARSZAWA, DNIA 8-go STYCZNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

MAPY I KSIĄŻKI prenumerata pism krajowych  
i zagranicznych  
Księgarnia KSIĄŻNICY-ATLASU  
Warszawa, Nowy-Świat 59. Telefon 223-65.

## Wielki przewrót na Litwie

(Obraz prawie rzeczywisty)



**MYDŁO  
DO  
GOLENIA**  
Przetłuszczone  
Hygieniczne

o przyjemnym zapachu daje  
pianę konsystencji kremu ude-  
likatnia i konserwuje skórę

WYRÓB APTEKI

M. MALINOWSKIEGO

W WARSZAWIE, --- NOWY-ŚWIAT 31

NOWA POWIEŚĆ KONARA

W POGONI  
ZA SZCZĘŚCIEM



DO NABYCIA U NAKŁADCY  
F. HOESICKA I WE WSZYSTKICH  
INNYCH KSIĘGARNIACH

Dopiero obecnie nadeszły prawdziwe wiadomości o wypadkach grudniowych w Kownie, pozwalające zorjentować się w przebiegu, powodach i celach dokonanego zamachu. Oto szereg autentycznych faktów w pragmatycznym rozwoju:

POLITYCZNE PRZYCZYNY  
REWOLUCJI

Stacjonowany w Olicie pułk im. W. Ks. Gedymina obchodził doroczne święto pułkowe, na które zjechali delegaci wszystkich oddziałów wojskowych z generalnym inspektorem armji, gen. Zukauskasem na czele. Wśród gości znalazł się major S. G. Plechawiczius, który świeżo powrócił z akademji wojskowej w Pradze Czeskiej i imponował wszystkim wiadomościami z wielkiego świata. W kasynie oficerskiej, gdy już dobrze kurzyło się z czubów, wywiązała się dyskusja polityczna.

— Wojsko nie powinno politykować — utrzymywał rotmistrz Kalinin, rosjanin w służbie litewskiej. — Nasza rzecz karność i subordynacja.

— To dobre dla kondotjerów — cedził przez zęby major S. G. Plechawiczius. — Armja dała Litwie niepodległość i armja musi czuwać nad jej utrzymaniem. Zły rząd może zgubić państwo.

— Nam wszystko jedno, jaki rząd jest u władzy — replikował rotm. Kalinin. — Jeżeli rozkażą, powiesimy tutaj portret Lenina.

— Coś pan powiedział? — za-

krzyknął Plechawiczius. — A masz, a masz, za Lenina! —

I wyciął dwa razy w twarz rotmistrza. Ten porwał się do szabli, ale przeciwników rozdzielono. Na drugi dzień rotmistrza Kalinina osadzono na dwa tygodnie na odwachu, mjr. Plechawicziusa zaś oddano pod sąd wojenny.

Narazie pozwolono mu jednak wrócić do Kowna. Przybył tam cały wzburzony i wnet zwołał czterech serdecznych przyjaciół ze szkoły wojennej na naradę.

— Dość tej propagandy komunistycznej — krzyknęli chórem, wysłuchawszy relacji o zajściu w kasynie olickiej. — Należy działać....

## ZAMACH ZBROJNY

Tejże nocy jeden z uczestników zebrania, major lotnictwa Mazurkiewiczius, dobrawszy sobie do pomocy sierżanta Kriwkisa, dwóch mechaników — pilotów i własnego ordynansa, wpadł na salę obrad parlamentu, który wśród ogólnego znudzenia rozpatrywał budżet ministerstwa rolnictwa.

— Proszę przerwać posiedzenie i rozejść się natychmiast — krzyknął oficer.

Na sali zapanowało ożywienie. Ponieważ było po godzinie 2 w nocy, niejeden poseł, drzemający dotychczas, zerwał się na równe nogi. Bardziej wytrwali nie ukrywali radości, że jakiś incydent urozmaicił monotonne posiedzenie. Przewodniczący wicemarszałek inż. Kajrys w grzecznej formie zapytał nieo-



czekiwane go intruza, o co mu właściwie chodzi.

— Nie mam czasu na pogawędki. Armja i lud dość mają waszego gadania. Zabierać się stąd — ryczał lotnik.

Zjawił się i sam marszałek Sejmu dr. Staugajtis, który wypoczywał w sąsiednim pokoju.

— Panie majorze, — mówił. — Prosimy o wyjaśnienie.

— Żadnych wyjaśnień! Mam rozkaz wezwać Sejm do rozejścia się. Pozostawiam Panom jedną minutę do namysłu, poczem postąpię inaczej. — Tu wskazał ręką na stojących obok sierżanta Kriwkisa, dwóch mechaników — pilotów i własnego ordynansa.

— Ależ, panie majorze!... — zaczął wicemarszałek inż. Kajrys.

— Dość tego gadania! Jeżeli memu żądaniu stanie się natychmiast zadość, to wszystko odbędzie się spokojnie. W przeciwnym razie zrzucam z siebie wszelką odpowiedzialność za skutki nieusłuchania mnie. — I znów zrobił gest w stronę swych podkomendnych.

Ci nasrożyli miny i łypnęli na posłów oczami, nic właściwie nie rozumiejąc z całej sceny.

— Zamykam posiedzenie — odezwał się wreszcie przewodniczący. — O następnem panowie posłowie zostaną uwiadomieni pisemnie.

Gdy przedstawiciele narodu wychodzili z gmachu sejmowego, na rogu ulicy Prezydenta ukazało się auto pancerne, kierowane przez drugiego uczestnika tajnej narady. Kursowało ono już od godziny po mieście, zwożąc aresztowanych w prywatnych mieszkaniach ministrów do gmachu Sztabu Generalnego, gdzie rezydował sam mjr. Plechawiczius i wydawał rozkazy.

### UWOLNIENIE WIEŹNIA STANU

Gdy tak dramatyczne sceny rozgrywały się przy ul. Sejmowej, pod więzieniem na ul. Mickiewicza stanął patrol huzarów czerwonych, z innym spiskowcem z mieszkania majora Plechawicziusa na czele. Rotmistrz Marcinkiewicz (on to bowiem dowodził pięcioma huzarami) uderzył silnie we wrota więzienne i zażądał ich otwarcia. Wyłęknięty klucznik natychmiast spełnił życzenie.

— Gdzie cela pułkownika Głowackisa? — zakrzyknął oficer.

— Pan pułkownik sypia w pokoju za kancelarią więzienną, ale obecnie znajduje się u pana naczelnika na kartach.



Istotnie okna mieszkania naczelnikowskiego były rzęście oświetlone. Rotm. Marcinkiewicz udał się tam, zostawiając swych huzarów w bramie na straży.

— Jak się masz, Mendog! — zawołał naczelnik więzienia, zobaczywszy wchodzącego rotmistrza. — Co cię sprowadza o tak późnej porze?

Ale wojak ominął wyniośle gospodarza i podchodząc do rozpartego w fotelu pułk. Grigaliunasa — Głowackisa, przyłożył rękę do czapki i zameldował służbowo:

— Jesteś wolny, pułkowniku!

Siedzący obok lekarz więzienny Piotrowskias i buchalter z filji Memeler - Banku Fiszkis zerwali się na równe nogi. Pułk. Głowackis powstał, przybrał bohaterską pozę i przemówił:

— Cztery dni i cztery noce więziono mnie w tych murach. I za co? Za to, że kocham moją ojczyznę — Litwę i pragnę, by była wielka, jak za czasów Gedymina, żeby odebrała zrabowane Wilno, Grodno i Sejny. Nie mogę się skarżyć, żeby administracja więzienna postępowała ze mną niegodnie. Przeciwnie, Fiodorze Afanasjewiczu — (tu zwrócił się do naczelnika więzienia), — jestem ci wdzięczny za ludzkie traktowanie i przyrzekam odwzajemnić się w odrodzonej ojczyźnie. Znalazłem tu też kilku dawnych podwładnych, którzy mi wszelkimi sposobami pomagali. Tylko paru członków administracji więziennej o zabarwieniu lewicowem starało się mi szkodzić. Protestowałem przeciwko aresztowaniu, ale to nic nie pomogło. Wszystko to przyspieszyło przewrót. Jestem wolny! Co mówię? — Jesteśmy wolni!

— Waliol! Waliol! — krzyknęli chórem zgromadzeni.

— Da zdrastwujet! Ura! — wtórował basem Fiodor Afanasjewicz.

Cała kompanja wysypała się z mieszkania na podwórzec więzienny, gdzie spotkała oczekujących huzarów. Pułkownik objął komendę i na czele patrolu udał się ulicami Kiejstuta i Gedymina pod gmach ministerstwa obrony krajowej.

### KRWAWE STARCIA

W Alei Wolności na rogu Prospektu Witolda rozległy się okrzyki. To dwaj zapóźnieni przechodnie witali oddział wojskowych różnych broni, prowadzony przez pułk. leit. Skuczasa. Oddział ten z Prospektu Witolda wyruszył w kierunku Zamku. Gdy zbliżył się na kilkanaście kroków od bramy, stojący na warcie dwaj żołnierze zaniepokoił się.

— Stój! — krzyknął jeden z wartowników.

— Swoil — odpowiedział pułk. leit. Skuczasa.

Ale warta nie dowierzała.

— Stój! — zagrzmiało znowu. Z oddziału spiskowców rozległy się śmiechy. Wtem padł strzał i jeden z oficerów, towarzyszących pułkownikowi-leitenantowi, upadł na bruk, obficie brocząc krwią. Napastnicy zawahali się. Wartownicy też przerazili się swego czynu i już bez oporu pozwolili się rozbroić. Spiskowcy wpadli do pałacu prezydenta. Szybko przebiegli puste pokoje i dostali się do sypialni.

— Kto tam? — odezwał się senny głos z głębi puchowego łóża.

— W imieniu armji jest Pan, Panie Prezydencie, aresztowany — oświadczył pułk. leit. Skuczasa.

— Co to za bolszewizm! Kto śmie targnąć się na prawowitą władzę? — wołał prezydent Grinius, pospiesznie wdziwając pijamę.

— Właśnie kładziemy kres rządowi, które prowadzą do bolszewizmu.

Prezydent został internowany w pałacu.

### POWRÓT KU PRAWU

Wiadomość o krwawem zajściu przed pałacem prezydenta obiegła kancelarję i urzędy wojskowe lotem ptaka. Wkrótce nadeszła też wieść o drugim wypadku: auto sztabu generalnego wpadło w Alei Wolności na dorożkę, którą jechał poseł socjalistyczny dr. Pajanjis. Koń został zabity, poseł odniósł poważne obrażenia całego ciała.

— Dość tego rozlewu krwi — mówił pułk. Szaszkiecz — do kilku oficerów, którzy, zaalarmowani wypadkami, przybyli do komendy miasta.

— To może doprowadzić do wojny domowej i do polskiej interwencji — przestrzegał komendant pierwszej dywizji, pułk. Jo-



kajtis. — Zamiast zdobyć Wilno, stracimy Kowno.

Pułk. Grinius, krewny prezydenta, pułk. Zelikis, kapt. Rudajtis i inni przyłączyli się do tej opinii. Propagatorzy ruchu poczuli, że grunt usuwa się im z pod nóg.

— Co robić, co robić? — pytał major Plechawiczius. — Ministrowie są poaresztowani, Prezydent internowany. Jeśli ich uwolnimy, to sami dostaniemy się do kozy.

Wreszcie ułożono plan. Zwolnić się wszystkich uwięzionych, ale gabinet poda się do dymisji; powstanie nowy rząd i dokona się wyboru nowego prezydenta.

Tegoż dnia nad wieczorem odbyło się posiedzenie rady ministrów w dawnym składzie, gdzie zanadto uchwała podania się całego gabinetu Slezewicziusa do dymisji. Prezydent Grinius przyjął dymisję i powierzył misję utworzenia nowego gabinetu prof. Woldemarasowi, posłowi z grupy narodowej Tautininków, poczem, zatwierdziwszy pełny skład nowego rządu, sam zgłosił ustąpienie. W dwa dni później odbyły się wybory prezydenta przez zwołany naprędce Sejm. Z 85 jego członków, przybyło tylko 42; 38 głosami wybrano na prezydenta drugiego członka grupy Tautininków — p. A. Smetonę. Trzeci i ostatni członek tej grupy, poseł Linartas, został leaderem tak znacznie zmniejszonej frakcji w Sejmie.

## DONIOSŁE SKUTKI PRZEWROTU

— Konsekwencje przewrotu są bardzo głębokie — oświadczył nowy premier Woldemaras korespondentom pism zagranicznych. — Wszyscy rozumieją konieczność rewizji obecnej konstytucji w kierunku wzmocnienia rządu i uczynienia go zdolnym do pracy.

W tym celu przystąpiono przede wszystkim do zmian personalnych. Nowy minister spraw wewnętrznych, pułk. Mustejkis, który poprzednio był komisarzem rządu w Kłajpedzie, najenergiczniej wziął się do dzieła. Usunięto naczelników powiatów w Szawlach, w Telszach, Rosieniach i Rakiszkach. Tylko z Marjampola nie odważono się ruszyć, gdyż garnizon tamtejszy nie był pewny. Równie doniosłe reformy nastąpiły w ministerjum skarbu; zdymisjonowano dyrektora departamentu Jakszternisa, referentów Staugajtisa i Ku-

minskasa oraz kancelistów Leona-sa i Mankauskasa. Najgruntowniejsze przemiany zaszły jednak w wojsku. Szef sztabu, płk. Szkirpa został aresztowany na szosie marjampolskiej na 7 klm. od Kowna. Zrazu postanowiono wytoczyć mu proces o opór zamachowcom i podżeganie do buntu przeciwko nim. Następnie jednak zdecydowano poddać go oględzinom lekarskim i uznać za niepoczytalnego. Na jego miejsce szefem sztabu został pułk. Skorupskis. Aresztowano naczelnika policji politycznej, który okazał się sadystą i morfinistą; stanowisko jego objął p. Bronisław Weżis. Nadto osadzono w więzieniu dwóch pułkowników, majora i trzech niższych oficerów, nie licząc osób cywilnych, podejrzanych o sympatie dla dawnego rządu.

Zupełny przewrót nastąpił w redakcji urzędowej „Lietuvy“, redaktorem jej mianowano dr. K. Jokantasa, zastępcą jego M. Bogdanosa. Reszta członków redakcji pozostała ta sama. Major Plechawiczius uprzedził redakcję „Li-

teuvos Zinios“, organu ludowców, że pismo będzie skonfiskowane w razie powtórzenia się napaści na nowy ustrój. Jednocześnie rząd zapowiedział ogłoszenie nowych przepisów prasowych, gdyż obecne pochodzą z czasów rosyjskich i niedostatecznie zabezpieczają ład i porządek w republice litewskiej.

Sądząc z oświadczenia, złożonego prasie przez premiera, prof. Woldemarasa, niemniej doniosłe zmiany zajdą w polityce zagranicznej państwa. Poseł litewski w Berlinie, p. Sidzikauskas, w wywiadzie, udzielonym „Deutsche Diplomatische Politische Korrespondenz“, sformułował to w następujący sposób:

— Poprzedni rząd był nieprzyjaźnie usposobiony do Polski, przychylnie do Niemiec i przyjacielsko do Rosji. Nowy rząd wrogo odnosi się do Polski, przychylnie do Rosji i przyjacielsko do Niemiec.

— Oto wielkie konsekwencje przewrotu!

Old.

## Z TYGODNIA

Rząd nasz wziął na się dość niewdzięczną rolę Petruccia. Postanowił poskromić prasę — złośliwie. Zabiegi przecież, jakie dotąd czyni, są niezdarne. Pierwszy projekt przepadł niechlubnie; drugi, już przed wyjściem na świat, sprowokował torsje. Drogi Petruccio! Temi metodami nie zniewolisz pięknej Katarzyny! Ani złagodzisz jej kolerycznie nieznośnego charakteru! Drwić sobie będzie z twojej nieudolności.

Pytano Solona, czy mniema, że dał Ateńczykom najlepsze prawa, jakie mógł. Odpowiedział:

— Najlepsze z tych, jakieby znieśli.

Pewnym naszym politykom, zwłaszcza rakuskiej proweniencji, wydaje się, że wszystko zło da się naprawić formułą nowego prawa. Rządzić, w ich mniemaniu, to wydawać nowe ustawy, groźne, przerażające. Bo im człowiek słabszy, tem bardziej chce drugich straszyć. Papkin najgłośniej chęłpi się odwagą.

Aby powstrzymać zło, nie prawa należy zmieniać, lecz obyczaje. W rządzeniu zaś — nie nowe prawa decydują o powodzeniu, lecz umiejętność, rozumna stanowczość w ich stosowaniu. Po cóż wam no-

wa ustawa prasowa, skoro nie potrafiłście korzystać z dotychczas obowiązujących praw! Sprawy prasowe mają przeważnie charakter spraw honorowych. Sprawy honorowe muszą być rozstrzygane w ciągu 24 godzin. Czemuż to sprawy o potwarz czy obelgi w druku trwają po dwa lata i dłużej, czemuż taka sprawa wchodzi na wokandę dopiero po 5 — 6-iu miesiącach? Po cóż tworzyć nowe prawa, jeśli równocześnie nie ulepsza się sprawności sądów, przywalonych beznadziejnie zaległościami.

O polski Petruccio! Zachodzi obawa, że Katarzyna długo jeszcze za nos wodzić cię będzie i złość swą na twojej skórze skrupiać.

Nasi mężowie stanu pochłonięci są ciągle wielkimi sprawami. Tymczasem drożyzna pomalutku, lecz stale rośnie. „Czynniki miarodajne“ przestały już zwracać na to uwagę.

Napoleon I był innego zdania. Gdy między jednym a drugim zwycięstwem wracał do Paryża, zwykł był, podczas paradnych obiadów w Tuilleries, pytać sąsiadkę o



ceny masła i mięsa. I biada do-  
stojnej damie, jeżeli nie umiała  
dać dokładnej odpowiedzi.

Napoleona interesowały w naj-  
wyższym stopniu warunki bytu  
przeciętnego obywatela. Miał w  
pamięci te czasy, kiedy jako mło-  
dy oficer stołował się w trzecio-  
rzędnych jadłodajniach paryskich,  
licząc się z każdym soldem.

I kiedy zdarzyło się, że sąsiadką  
Cesarza była przy stole jakaś ma-  
dame Sans Gène, która dosadnie  
umiała przedstawić wzmagające  
się kłopoty i udręki matki rodzi-  
ny, — Napoleon nazajutrz zwoły-  
wał radę ministrów, mył im głowy,  
że się w kraju źle dzieje, skoro gra-  
suje drożyzna. A że ministrowie  
drżeli przed nim, wnet spekulanci  
zaczynali drzeć przed ministrami.  
Bo w tych czasach do walki z li-  
chwą spożywczą — i inną — nie  
nakładano rękawiczek.

Napoleon rozumiał, że podsta-  
wą ładu społecznego jest możliwość  
obiadu za tanie pieniądze. Z czło-  
wiekiem sytym można zawsze dojść  
do porozumienia. Głodnego nie  
przekonają żadne argumenty.

Ostatnie dni grudnia przyniosły  
cały szereg nowych książek,  
poprawiając dodatnio bilans wy-  
dawniczy ubiegłego roku. Nakła-  
dem ruchliwej księgarni F. Hoe-  
sicka ukazało się wiekopomne dzie-  
ło Monteskjusza „O duchu praw”  
w świetnym, nowym przekładzie  
Tadeusza Żeleńskiego (Boya), z  
przedmową Wacława Makowskie-  
go. Taż sama księgarnia jedno-  
cześnie wydała nowe powieści Al-  
freda Konara („W pogoni za  
szczęściem”), Adolfa Nowaczyń-  
skiego („System dr. Caro”), Je-  
rzego Brauna („Hotel na plaży”),  
Zygmunta Kisielewskiego („Błąd”),  
dwa tomy poezji: Emila Zegadło-  
wicza („Dom jałowcowy”) i J. K.  
Iłakowiczówny („Płaczący ptak”).  
Właściciel księgarni F. Hoesicka,  
p. Steinsberg, jest człowiekiem od-  
ważnym: wydaje dzieła pisarzy  
polskich, nie sensacyjne utwory cu-  
dzoziemskie, — nie lęka się druko-  
wać wierszy! I, rzecz szczególnie-  
sza, nie narzeka na brak czyteln-  
ków, ani na autorów.

Efemeryda 95-groszowa, — i  
tańsza — niosąca tandetę w krzyk-  
liwej okładce, już się przeżywa.  
Publiczność przekonała się, że nie  
należy dowierzać zbyt niskim ce-  
nom. Publiczność nauczyła się  
także sprawdzać, kto książkę wy-  
dał: do jednych wydawców ma

większe zaufanie, do innych —  
mniejsze. Według zasługi.

Jeden z naszych grymaśnych  
księgarzy pyta ironicznie:

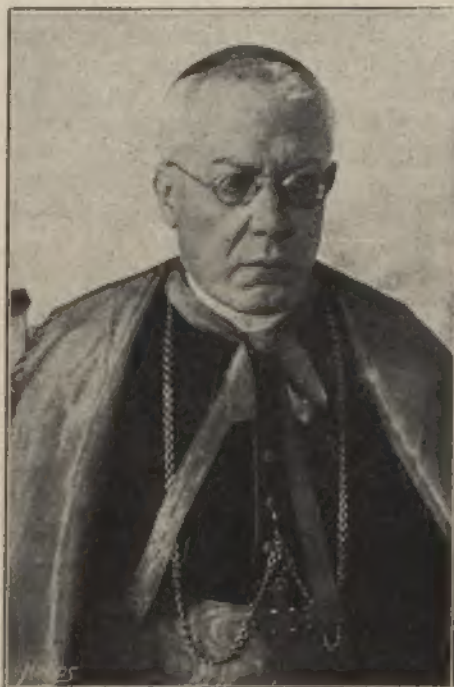
— Ale gdzie szukać tych do-  
brych nowych dzieł polskich? Z  
twórczością polską jest, jak z owem  
czystym płótnem w ramach, które  
miało przedstawiać przejście ży-  
dów przez Morze Czerwone: żydzi  
już przeszli, a morze jeszcze się  
nie zeszło. Starsi pisarze polscy  
już się „wypisali”, młodzi piszą  
dla siebie, nie dla publiczności.

— Drogi panie! Rzeczywistość  
mówi inaczej. Ileż to cennych ksią-  
żek ukazało się w ostatnich cza-  
sach! Perzyński, Goetel, Choy-  
nowski, Nałkowska, Konar, Nowa-  
czyński.... A przekłady Boya, któ-  
re są tyleż warte, co oryginały!

Nie trzeba nadto mędrkować.  
Katon to już kiedyś powiedział, że  
mędrzec więcej nauczy się od  
głupca, niż głupiec — od naj-  
mądrzejszego.

Sylwestra obchodzono w War-  
szawie hucznie i bez humoru.  
We wszystkich lokalach publicz-  
nych było pełno i nudno. W pierw-

## NOWY KARDYNAŁ



*Monsignor Lauri, nuncjusz papieski w War-  
szawie, wybrany przez Święte Kolegium na  
kardynała. Płaskę w imieniu Papieża wręczył  
nuncjuszowi P. Prezydent Rzeczypospolitej*  
Fot. Marjan Faks

szorzędnych restauracjach poja-  
wił się na stołach szampan; tym,  
którzy zaś płacili, mniej smakował.

Restauracje warszawskie w cza-  
sach powojennych ustaliły swą złą  
reputację. Organizacja ich, opar-  
ta przeważnie na zrzeszeniach kel-  
nerskich, jest nieumiejętna. Je-  
dzenie po większej części liche.  
Hałaśliwa muzyka, zupełnie niedo-  
stosowana do salonów jadalnych,  
czyni w nich pobyt niemiłym. Ce-  
ny są ponad wszelką miarę wygó-  
rowane. Mniej ostrożnego klienta  
obdzierają bez litości. Oczywiście,  
ta spółka niedołęstwa ze zdzier-  
stwem szczęścia nie przynosi.

Prawdziwy sabat jednak święci  
lichwa restauratorska dopiero w  
noc noworoczną. Już bez fałszy-  
wego wstydu, bez zakłopotania.

Dyogenes, gdy go pytano, ja-  
kie wino smakuje mu najlepiej, od-  
parł:

— Cudze!

Niejeden obywatel stołeczny z  
westchnieniem powtarzał sobie w  
Sylwestra cyniczny aforyzm filozo-  
fa greckiego.

Czyż i wielu innych naszych kup-  
ców nie trzyma się tej samej  
zasady:

— Sprzedawać mało i drogo!  
Maksyma ta była może trafną w  
okresie inflacji; w czasach normal-  
nych jest najbłędniejszą. Ale naj-  
łatwiej trafia do przekonania umy-  
słom ciasnym, pozbawionym inicja-  
tywy, pomysłowości, energii, zdol-  
ności organizacyjnych. By produ-  
kować czy sprzedawać i dużo i ta-  
nio, te zalety są nieodzowne. One  
to, na Zachodzie i w Ameryce Pół-  
nocnej, odnoszą zwycięstwo.

Aby sprzedawać dużo, trzeba  
umieć się reklamować. Nasz kup-  
iec najczęściej uważa, że gdy  
zgromadził towar w swych maga-  
zynach, uczynił wszystko, co do  
niego należało. W naszych uczel-  
niach handlowych winny być po-  
tworzone specjalne katedry rekla-  
my. Sztuka to jest dziś skompli-  
kowana. W całym świecie kultu-  
ralnym odgrywa wielką rolę; u nas  
traktowana jest wstydliwie i  
wzgardliwie. Gdy interesy „nie  
idą”, kupiec twierdzi, że nie ma na  
reklamę. Jeśli „idą” dobrze, uwa-  
ża, że reklama jest niepotrzebna.  
I tak obraca się wciąż w małym i  
ciasnym kręgu, rzadko potrafiąc  
zdobyć się na szerszy rozmach.

skrz.





Projekt „Pisków”. Nagroda III 1000 zł. Wykonał Jan Goliński z Warszawy

Projekt „Żorawie”. Nagroda I 3000 zł. Wykonał Jan Szczepkowski z Milanówka pod Warszawą

Projekt „Res”. Nagroda II 1500 zł. Wykonał Józef Rojczyński i Józef Starzyński ze Lwowa



## PRZYJĘCIE NOWOROCZNE NA ZAMKU WARSZAWSKIM



P. Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki w dniu noworocznym przyjął reprezentacje sejmu, senatu, przedstawicieli mocarstw akredytowanych. W imieniu dyplomacji wygłosił przemówienie ambasador Francji Laroche





Wycieczka samochodowa do kraju indjan

2)

## Od Atlantyku do Pacyfiku

Jeżeli Ciechanowski i Kurnikowski nie dokonają dzieła konsolidacji, to będzie trzeba na tem przedsięwzięciu krzyż położyć na zawsze. Ale można przypuszczać, że zdrowy element kolonii polskiej tym razem w obliczu coraz bardziej na zewnątrz rosnącego prestige'u naszego kraju, którego jawnem świadectwem były niezwykle sympatyczne i optymistyczne oświadczenia profesora Kemmerera po powrocie delegacji z Polski, zdobędzie się na jeden wspólny okrzyk zgody i na taktykę współdziałania przynajmniej w sprawach ogólnonarodowych. Pomaga fakt, że wszystkie placówki konsularne, z pełnym taktu i zapobiegliwości D-rem Gruszką, konsulem generalnym w Nowym Yorku, mają świetnych pracowników.

Pięć sekcji naszego wczorajszego ekspresa ruszyło niemal o tej samej godzinie z Nowego Yorku do Chicago, to jest kilkadziesiąt wagonów nabitych ludźmi, opłacającymi bardzo wysoką specjalną taryfę, a codziennie na tej przestrzeni na różnych liniach sto lub może więcej pociągów mniej lub więcej zbytłownych odstawia tysiące pasażerów do tego miasta, dając świadectwo jego przemysłowej, handlowej i kupieckiej ważności, a zarazem świadectwo jego bogactwa! Ale bogactwo miast amerykańskich nigdy nie wyraża się w jego wyglądzie zewnętrznym: całe zakopcone, przymglone dymem i hałaśliwe Chicago, poza wspomnianym bulwarem i

kilku budynkami nowszej struktury, niczem nie zdradza swego dobrobytu i swej potęgi. W ciągłym pośpiechu, widzi się jeszcze smutniejsze twarze, niż w Nowym Yorku, jeszcze bardziej na oślep przed siebie pędzące jednostki ludzkie, których życie spływa na wykonywaniu nakazanych rutyną odruchów, automatycznie niemal u wszystkich ludzi się powtarzających i — na wmawianiu w siebie szczęścia z tego nieustannego niepokoju płynącego. Ale takie pojęcie życia, jakie stwarza sobie lub stwarzać winna jednostka ludzka, do mądrego podziału pracy i używania uprawniona, tutaj nie ma zastosowania.

Wszystko w tym kraju polega na przesadzie, wytworzonej przez tak niezwykle i nieoczekiwanie nagły wzrost jego miast i bogactwa jego mieszkańców. W każdym razie ta kolosalność rzuca się w oczy Europejczykowi, a z jego opinią zgadza się wielka część intelektualnych przedstawicieli tego kraju, nad jego przyszłością nieraz bardzo się zaniepokojonych. Budynki tak wysokie, że muszą sięgać gdzieś pod niebo, ludzie mieszkają na dwudziestych, a pracują na trzydziestych i czterdziestych piętrach, i w takim samym stopniu i rozmiarze odbywa się reszta życia i pracy ludzkiej, nieustannie zadziwiając nas cyframi rozmiarów, odległości, sum pieniężnych.

Zdawałoby się, że nawet natura

tego kraju zaraziła się przesadnością wszelkich innych objawów życia: przesadnie straszne są ich katastrofy meteorologiczne, ich trzęsienia ziemi, huragany, niszczące całe miasta i miasteczka, ich zaspasy śniegowe w pewnych częściach kraju, także co roku nawiedzające Nowy York i Chicago i wiele innych miast bardziej jeszcze na wiatry północne wystawionych.

Tych kilka godzin w przejeździe spędzonych w Chicago zrodziło we mnie na nowo uczucie smutku i przygnębienia, które stanowi taki szwderczy niemal kontrast z temi wymysłami wygody i komfortu, wśród których odbywa się to poranie się z życiem.

Może bez nich nie dałoby się ono wogóle pomyśleć. Może każdy nowy atak na nerwy ludzkie musi być zrównoważony dostarczeniem tym biednym skolatanym nerwom czegoś „w rodzaju” wypoczynku i rekreacji.

### PRZEZ ŻYZNE KRAJE ROLNICZE

Wieczorem wsiałem do pociągu, który przez trzy dni i trzy noce zaprowadzi nas już do samego Los Angeles, celu naszej podróży. Ten sam komfort, może nawet jeszcze większy, ze względu na długość tej „przejażdżki”. Doskonały wóz restauracyjny, słynnego na całą Amerykę systemu Harveya, w którym niema masowego odkarmiania, lecz bardzo dobrze wyposażona kuchnia à la carte, usługa nadzwyczajna, naturalnie, jak cała służba pulmanowska, murzyńska, dalej salonik fryzjerski, kąpiel, manikiur, i na żądanie stenotypista.

Wspominam o tym komforcie tylko dlatego, że jest on z jednej strony dowodem wielkiego dobrobytu tego kraju, ale z drugiej stoi niemal w przeciwieństwie do prostoty całego otoczenia, przedewszystkiem zaś pasażerów. Ten sam stosunek wydatku, ten sam zbytek w Europie bywa tylko przywilejem najbogatszych albo lekkomyślnie przekraczających swoje możliwości finansowe, pociąga za sobą zwykły szyk i elegancję. W naszym pociągu jedzie kilku poważnych milionerów, ale kilka osób pochodzi z małej mieszczańskiej sfery, z rozmowy zaś dwóch bardzo czerstwo i zdrowo wyglądających starszych jegomościów wywnioskowałem, że są zwyczajnymi farmerami i chodują migdały w Kalifornii. Zewnętrznie wszyscy przedstawiają



się jednak, skromnie, raczej nawet szaro, kilka pań ma jakieś lepsze futra, wiszące w kabinie, a brylanty zapewne dobrze pochowane, gdyż w podróży uważanoby je za śmieszną pretensjonalność. Bez przedstawiania się ludzie do siebie mówią i przestają mówić, wszyscy są dla siebie uprzejmi bez europejskiej galanterji. Wszystko razem daje atmosferę wielkiej swobody i naturalności, demokracji w najlepszym pojęciu tego wyrazu. Kto zechce robić studia antropologiczne, może z rąk, ze sposobu patrzenia przed siebie, wreszcie z chodu wynioskować, że wygody życiowe i zbytek są przywilejem tych ludzi dopiero w pierwszym, drugim a bardzo rzadko w trzecim pokoleniu.

Temu odpowiada wygląd stacji kolejowych, przez które przejeżdżamy, ludzi na dworcach zebranych, wreszcie nawet prostota krajobrazu i tylko rzadka spotykanych miasteczek, budowli i ulic.

Rano zatrzymujemy się w półmilionowym mieście *Kansas City*, przejechawszy nocą duży szmat stanu Illinois, skrawkiem dotknąwszy stanu Iowa i kilkudziesięciu mil stanu Missouri. Krajobraz przeważnie przyjemny dla oka, jakkolwiek spokojny i płaski. Samo miasto *Kansas City*, położone na kilku pagórkach, mimo swojego wielkiego znaczenia handlowego, niezmiernie prymitywne: obok nowych kilkunastopiętrowych budynków, stoją skromnie z drzewa niemal polepione małe domki w ciasnych, zaniedbanych uliczkach.

Jednym z najciekawszych objawów, we wszystkich częściach Ameryki spotykanych, jest właśnie ta mieszanina prymitywnego życia z komfortem a nieraz i zbytkiem, na który sobie rzadko jakie miasto w Europie może pozwolić. Niemal na jednej rodzinie, często bardzo nawet na jednostce, wypisana jest ta krótka ale szybka historia tego kraju i ta pełna niespodzianek karjera jego mieszkańców. Dobrobyt tak szybko ich zaskoczył, że nie mieli czasu do niego zastosować jeszcze swojego życia. Sami twierdzą na swoje usprawiedliwienie, że cały naród, zajęty gorączkowo zdobywaniem pieniędzy, nie miał jeszcze czasu na ich wydawanie. Stąd na każdym kroku rażące kontrasty: jakiś marny, odrapany domek obok wspaniałego pałacu; ktoś zaledwie wczoraj umyty z czarnego węgla, który sam kilofem wykopywał, zasiada w najdroższej własnej rezydencji i z tym samym spokojem przyjmuje narzucony mu przez

bogactwo przepych, z jakim w ubóstwie wykonywał zabójczą czarną robotę w kopalniach.

Wszędzie się napotyka młodość i nowość tego kraju, mniej jaskrawe może już dzisiaj w Nowym Yorku lub Bostonie, bardzo jednak wyraźne, im bardziej się posuwamy na zachód.

Wjeżdżamy w stan Kansas, jeden z najbogatszych stanów Ameryki północnej, dostawca zboża, sławny przez znakomitą swoją pszenicę. Rolnictwo jest podstawą jego dobrobytu, jak i hodowla bydła. Gospodarstwo domowe stoi na bardzo wysokim poziomie, każdy farmer, nawet mniej zamożny, ma swój samochód lub samochodzik, wiele domów, rzadka po szerokim kraju rozsianych, własne telefony.



*Dawny kościół Indian w Laguna*

Kraj bardzo równinny, w tej chwili dla oka przyjemny przez ślicznie żółtą się zieleń łąk i ładnie rozsiane drzewka. Nazwy spotykamy już pochodzenia indiańskiego, stolicą jego *Topeka*, co w języku dawnych właścicieli tej ziemi oznacza „ziemiak”.

Wieczorem wjeżdżamy na ziemię stanu Colorado, znanego nieraz pod nazwą amerykańskiej Szwajcarii. Ciężko ale równo mkną po zachodzie słońca nasze olbrzymy stalowe, po tych równinach, tu i ówdzie bardzo lekko pagórkowatych. Myślą sięgam do krajobrazu polskiego, do naszych płaszczyzn z Poznańskiego, z którymi niedawno w domu moich przyjaciół się żegnałem, a potem do owej pięknej górzystej krainy Beskidu i Tatr małopolskich: ileż my w takim razie na swojej ziemi naliczyć możemy Szwajcarii, jeżeli skromny pejzaż Colorado rości sobie do tej nazwy pretensje. Zresztą to stan bar-

dzo bogaty, farmy, hodowla bydła, kraina „cowboy’ów” i apaszów, tak często z przesadną barwnością pokaziwanych w kinach. Zarazem kraj bogactw metalowych, kopalnie złota, srebra, miedzi i radu. Jego przedhistoryczni mieszkańcy zostawili tu ślady swoich siedlisk w świeżo odkopanych ruinach i szczelinach skalnych. Chowają się one po drugiej stronie gór *Rock Mountains*, pełnych dzikiego uroku.

Czwartego dnia opuszczamy stan Colorado i wjeżdżamy do stanu New Mexico.

## INDJANIE.

Po całym kraju rozprzestrzenione są bardzo liczne nazwy stanów i miast pochodzenia indiańskiego, dawnych mieszkańców wielkiej części dzisiejszej Ameryki północnej. Ślady ich dzisiaj wszędzie się zatarły, zostały tylko niezliczone legendy i opowieści, których wszyscy w młodości naśladowaliśmy się, pożerając z zapalem dzieje wzajemnie się nienawidzących plemion, które w pochodzie wieków tak zwana kultura i jej przedstawiciele zadusili bez litości.

Kraj, przez który w tej chwili nasze stalowe zwiastuny tej kultury bez pardonu pędzą z całą świadomością jedynego prawowładztwa i dokonania błogosławionego dzieła cywilizacji, zawiera jeszcze szczątki tej dawnej rasy barwnej, odzianej w romantyczne legendy. Tych kilkaset tysięcy czerwonoskórców, bardzo jeszcze prymitywnych ale wyrobionych w poczuciu rasowego i szczepowego honoru, ma wyrażne tradycje niesłychanej odwagi i wcale pokaźnego zamiłowania do sztuki, czego świadectwem są dawne ich przybory domowe, jak i wojenne i cały jeszcze dzisiaj niezupełnie zamarty przemysł artystyczny.

Obecnie Indianie, którym pierwotnie zabrano ziemię i których zostawiono czas jakiś nawet bez ochrony prawa, mogą korzystać z pewnych zasadniczych praw obywatelskich. Mieszkają oni w tak zwanych „rezerwacjach”, to jest ograniczonych przez rząd, dla ich własnego użytku oddanych przestrzeniach, w których wolno im rządzić się własnymi prawami i mieć własnych zwierzchników, własne obyczaje i uroczystości, o ile one naturalnie nie są w sprzeczności z ogólnie przyjętą w kraju etyką i moralnością.

*Ryszard Ordyński*

*Los Angeles.*

(Dok. nast.)





Grób rodziny Mickiewiczów na cmentarzu w Montmorency

## Z życia kolonii polskiej w Paryżu

### ŚMIERĆ PANI MARJI MICKIEWICZOWEJ.

Dnia 17 grudnia kolonia polska paryska poniosła nową i bolesną stratę: zmarła pani Marja z Malewskich Mickiewiczowa, wdowa po ś. p. Władysławie Mickiewiczu, zmarłym tego lata Córka filarety i znanego patrioty, przyjaciela Adama Mickiewicza, była ona jakby żywą nicią, łączącą dwa bardzo już odległe pokolenia. Mówiąc z nią, mimowoli zbliżało się do owych dawnych, zamglo-nych nieco czasów. W kilku słowach wywoływała nieraz jakąś sylwetkę nieznana i czyniła ją prawie dotykalną, dzięki akcentowi pełnemu przejęcia, z jakim się wyrażała. Urodzona w r. 1834, pani Marja Mickiewiczowa liczyła obecnie przeszło 92 lata, a mimo to posiadała zadziwiającą nieraz pamięć i żywość umysłu. Tym, którzy nigdy nie byli na rue Guénégaud w dużym staroświeckim salonie, trudno sobie będzie wyobrazić, czem były poniedziałki u państwa Mickiewiczów. I my młodzi nie pamiętamy najświetniejszych czasów, ale przecież z ostatnich lat mamy choć mniej świetny, lecz równie wyrazisty obraz zebrania poniedziałkowych na rue Guénégaud. Stary dom, kręte, zdradzieckie schody, po których nieraz wchodziło się już przy świetle zapalek i już zdaleka dolatujący gwar polskiej mowy. A potem salon staroświecki z wielkim portretem Marii Szymanowskiej, babki ś. p. Włady-

śława Mickiewicza, owej „królowej tonów”, jak ją nazwał niegdyś Adam Mickiewicz, w romantycznej toalecie, z misterną koafiurą; naprzeciw mniejszy, słynny portret Adama Mickiewicza w burce, i dookoła wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia.

I sama, jak wspomnienie, snuła się wśród gości mała staruszka, szczupłutka, wiotka, pochylona wiekiem, czepiając się nieraz sprzętów, aby przejść przez pokój, coraz niklejsza, coraz bardziej do ducha przeszłości podobna. Tylko w zgasłej starczej twarzy świeciły przedziwnie żywe i młode oczy, świadczące, że wszystko obecne nie wydaje się obcem ani oderwanem od przeszłości tej, która tak długą i bogatą przeszłość miała za sobą. Pamiętała twarze i nazwiska nieraz nawet rzadko widywanych osób.

Dziwne wrażenie sprawiało to pogodzenie się z rzeczywistością i silnie obok niego trwająca wizja przeszłości. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego wieczoru, opowiadając mi o rozmowie ojca swego z wielkim księciem Konstantym Pawłowiczem, w taki sposób, jakby obaj należeli jeszcze do grona żyjących, pani Mickiewiczowa zaczęła mówić o prasie współczesnej i literaturze. Pomiedzy tem, co było, a tem, co jest, nie istniał dla niej przełom, umiała to łączyć w jedną harmonijną całość.

\* \* \*

Ranek trochę szary, wilgotny, omgłony, typowy ranek paryski zimowy. W starym kościele St. Germain-des-Près, gdzie był opatem król Jan Kazimierz i gdzie do dziś dnia wznosi się jego przepysznym pomnik, w głębi, w jarzącej się od światła kaplicy, niewielka trumienka tonie w kwiatkach. Ksiądz Jakubisiak, czcigodny, wieloletni pasterz kolonii polskiej, nieco drżącym od wzruszenia głosem odprawia mszę. Obok katafalku klęczy cała w czarnych woalach panna Marja Mickiewiczówna, wnuczka poety, bardzo blada, ale wyprostowana sztywno siłą woli i napózór spokojna. Ostro rysuje się jej wyrazisty profil w żółtawym migotliwym świetle, zalewającym kaplicę. Dużo osób z kolonii. Panna Olga Boznańska, słynna malarka, p. Stefański, szef Biura prasowego polskiego, artysta-rzeźbiarz Franciszek Black, artysta-malarz Tadeusz Makowski, pani Łazarska, twórczyni prześlicznych lalek polskich i francuskich, pani Chelmońska, malarka etc. Ze świata literackiego p. p. Zygmunt Zaleski, Hieronimko, Fawel Kucharski, Włoszczewski, Przegląd etc. etc.

Auto-wozy czekają... W drogę do Montmorency, gdzie znajduje się prawdziwy cmentarz polski. Niegdyś generał Kniaziewicz dał początek temu cmentarzowi, gdyż lubiąc bardzo Montmorency i mieszkając tam nieraz z Niemcewiczem, zakupił grób dla swego przyjaciela i dla siebie. „Karol Kniaziewicz, szlachcic polski, tu oczekuje zmartwychwstania”, a za jego przykładem dużo wygnańców zapragnęło spoczywać na owym zacisznym, przypominającym polskie groby, cmentarzu. Tu znajduje się grób rodziny Zamoykich, gdzie spoczywa obok generała Władysława Zamoykiego i sławna Klau-dja Potocka, tu leży znany działacz i orientalista Aleksander Chodźko, tu spoczywa Delfina Potocka, tu w zbiorowym grobie znalazł ostatni przytułek Cyprian Norwid. I tylu tu, tylu innych. Na wielu grobach ślicznie wykute lub wyrzeźbione herby, cały herbarnik polski na tym małym prowincjonalnym cmentarzu francuskim.

Przechodzącym ponad otwartą mogiłą, nad którą wznosi się w ramie zielonych bluszczów bolesna maska Adama Mickiewicza. Cicha religijna, skupiona, tylko p. p. Zaleski, Hieronimko i delegat młodzieży w paru krótkich, głęboko odczutyh słowach pożegnali zmarłą.

Z za chmur przedarł się blady, smutny promień grudniowego słońca i oświecił ciemne sylwetki i stozgi przepysznych kwiatów. Jeszcze jedna mogiła na cmentarzu wygnańców w Montmorency. Obchodzi w przeszłość stara Polska tułaczka, która mogłaby powtórzyć z Symeonem: „Teraz, Panie, puść służyć swego w pokoju, albowiem oczy moje oglądały zbawienie”.

Dr. M. Kasterska

Paryż.





## Sezon zimowy w Zakopanem



Fot. Jechotenbuck

Minister Bertoni z córką,  
obok znany narciarz i zdoby-  
wca nagrody p. H. Bednarski



Andrzej Krzeptowski (Sokit)  
mistrz polski w narciarstwie



Wice premier Bartel z córką u wejścia do „Hot. Bristolu”

Minister A. Zaleski wraca z popisów narciarskich



## Z pamiętnika młodego literata

Chciałbym tak dużo, dużo pisać, tylko nie wiem, o czym. Są pisarze, którzy podobno nieźle żyją z pióra,—przyszło mi właśnie na myśl, czy nie dobrze byłoby ustroić się trochę w cudze pióra... i napisać a la ten lub ów poważnej historycznej powieści. Podobno na takich powieściach, dobrze odzwierciadlających daną epokę, nikt jeszcze nie stracił, a niejeden się wzbogacił. Nie jest to tak trudno, trzeba mieć tylko pusty zeszyt i pełną głowę przeczytanych odpowiednich dzieł, a jakoś to pójdzie. Zaczynam w imię Boże! — Tytuł dodam na końcu.

### Rozdział I

— Nuże Jasiek! rusz że się, gamoni! czegoś stoisz, jak ten lelek kozuduj i po powale ślipiami przebierasz, ruszaj że do bokówki i jej mościance powiedz, niechaj się grzecznie przebierze, bo gościa mamy nielada. Rzekłszy to, imć kasztelan Krakowicki klejnotu „rogi” poklepał swego gościa po plecach, aż coś jak jęknął w starościcu Chrobowskim, panu szerokich włosów i jedy-naku.

— Ejże! — rzekł nagle, zmieniając ukladny sposób mówienia, a brwi jego sumiaste ściągnęły mu się nad czołem. — Ejże! starościcu, kasztelańskiej dziewczki wam się zachciwiała, a wiesz li ty, panie Zbigniewie, że do alkowy kasztelanki Krakowickiej aroga przez ołtarz prowadzi? — Ej, jakem ojciec, tak bym w turmie zamknąć kazał dzierlatkę, gdybym u niej w łożu gacha znalazł, hej! — Prawdziwemu nobile tak się postępować nie godzi, a pijże waszmość, bo mi widno, że ci coś gorzki mój trunek. — Dziewka od nijakiego czasu, odkąd waszmościa poznała, nie je, nie pije, a tylko wciąż gryzie się.

— Errare humanum est! — odparł spokojnie starościc, insekta złośliwego na głowie zabijając, snadnie boć mu już widać od dłuższej chwili dogryzał, — mylicie się mości kasztelanie, bo jakem Świnka po kądzieli, tak intencje moje zawsze najczystsze wobec panny Pulcherji, dostojnej córki waszej, były...

— Aleś się z nią cackał, tako mi służebne doniosły, despekt zacnemu domowi czyniąc, — odparł kasztelan, już nieco pckornem zachowaniem młodzieńca udobruchany.

— Nie dla cackania, mości kasztelanie, za nią ja chodził, nie, ino z tego miłowania gorącego, a chcecie to jej się do stópek rzucę lub za

kolana obłapię i o rączkę nadobną poproszę, a was, wielce miłośniwy panie, o ojcowskie błogosławieństwo. Rzekłszy to, na jedno kolano przykleknął i usta do jego ręki pochylił.

— W imieniu mojej córki, Pulcherji Krakowickiej, dwojga imion, błogosławię cię, drogi starościcu, i tym pocałunkiem, który na mojej dłoni złożyłeś, pasuję cię na zięcia. Jezul! — krzyknął nagle. — Jezul! i przewróciwszy oczy, a wraz z niem i puhar w mękę Pańską rzezbiony misternie, usiadł ciężko na zydlu i tylko gardziel latała mu tam i z powrotem, jak długa. — Apage satanas! Apage satanas! szeptał nabożnie, trzęsąc się cały, powiedz, zaliś ty synem Belzebuba jest, czy moim? — zachwiał się, i ciężko runął na zydel z powrotem.

— Widno mi, szlachetny panie, że wam wapory uderzyły snaś do głowy, alście poproszę panny Pulcherji, aby wam leków odpowiednich nawarzyła. Mówią, że ponoć merkurjusz z żabim skrzekiem, pomiotem nietoperza i zajęczą farbą skuteczne na one dolegliwości ma działanie.

— Rękę pokaż, prawicę! — straszliwym szeptem wybelkotał kasztelan, — sześcioro palców o! — i rękę starościca porwawszy, pod światło ze stropu płynące podsta-wił.

Zachłysnął się starościc na on widok niespodziewany i prawie oniemiał. — Gdzie ja oczy miał przez tyle leciech, gdzie, zaiste, żem o-nego kazusu fatalis nie zoczył. Ba, bo gdybyż on jeszcze ów szósty nieboraczek w nosiech u mnie zamieszkiwał, alem to czynić nie zwyczajny zaiste, nie. Nie frasujcie się jednako o to, mości kasztelanie, a jako chcecie, to, — tu porwał się z kolan i roześmiał młodzieńczo, a siarczyście, — tym oto kordelasem, poturczeńca krwią splamionym, palec on nieszczęsny odetnę i kasztelance w złoto oprawiony, jako upominek rycerski złożę.

— Na Świętego Patrycjusza! — wrzasnął pobladły kasztelan, — spójrz waćpan! ino mi trupem nie padnij, boś nie białogłowa, lecz karmazyn. — Rzekłszy to, wstał, przyciągnął pasa i sześciopalcową prawicę swą położył na ramieniu młodzieńca.

— Ojcie! — ryknął starościc i straszliwy szloch zakołysał całą jego postacią, poczem runął kasztelanowi do nóg.

— Cichaj, synku, cichaj, — uspokajał go kasztelan pobladłymi ustami, — nie twojać to wina, nie. Posłuchaj, tandem tedy: macierz twoja Anielicha Chrobowska, de domo, Świnka z Komorowa, święta była zaiste niewiasta i cnót pełna, raz jeno ze mną koło Wielgiej Nocy, jeno ze mną synaczku zgrzeszyła, Boże świeć jej duszyczce. A nocka synaczku była wonczas majowa i odorów kwiatnych, słowiczycich trelów, a łabędzich śpiewów pełna. Matusz twoja z małżeńskiego łoża się wykradłszy, kiecek uniósłszy, przez okienko, jak gołabek biały, hycnęła prosto w moje ramiona. Co się podczas onej nocki działo, o tem ci się wiedzieć nie godzi, a i nieboszczki miłemi wspominkami w grobie poruszać nie trza.

Tu zaszlochał kasztelan i na swej sześciopalcowej dłoni oparł siwy łeb.

— Tedy, jako że nihilisine causa, w pół roku dzieciątko, zakwiliło w komorowskim dworzyszczu, chłopak jak tur, urwis od małego i opój.

— To już widno mi, że to wasze być musiało, ojcie!

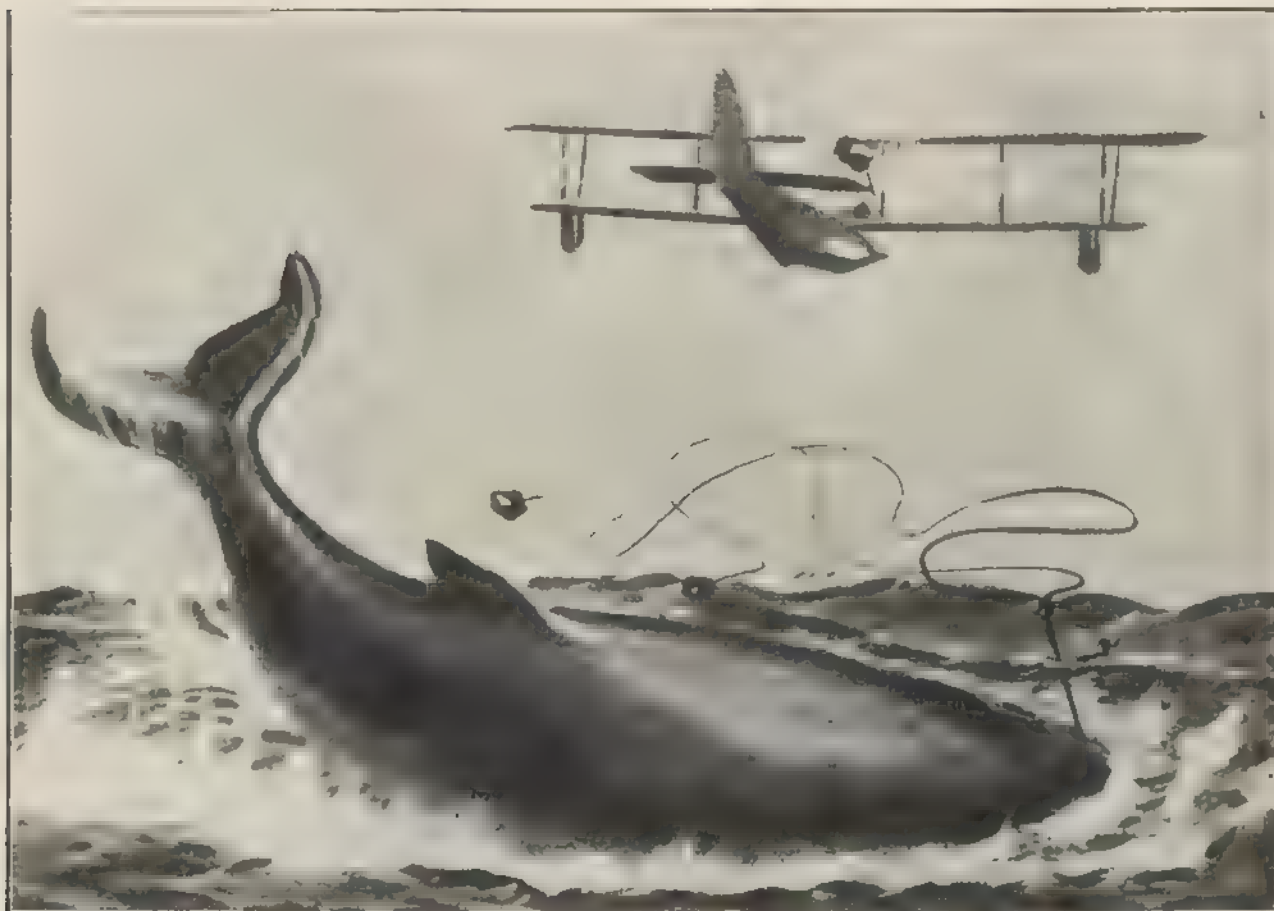
— Cichaj! starszym przerywać się nie godzi, owóż nikt niewiedział, czyje to dzieciątko, ani ja sam, ani Kacper, małzonek Janieli, pijak on obrzydły. Potem poszedł ja w potrzebie z królem Jaśkiem Sobieskim ojczyźnie miłej służyć, a Janieli zmarło się przez on czas niebodze, dwadzieścia wiosen liczyła wonczas sobie, dzisiaj będzie miała z pięćdziesiąt, na cmentarzu w Niegnojowicach spoczywając w Panu.

Nagle ciężkie odrzwia otwarły się bez słowa, a w nich ukazała się cud piękności kasztelanka. Na kark włożyła sobie altembasową jupkę, suto forysiami drogocennymi obszytą; z pod grodenapłowej roby spływały do ziemi nogi, jak kolumny. Na jej licu, po którym widać było, że ordynarnej wody używać nie zwykła, jeno mazie, a zamorskie bielidła, malował się jakowys smętek. Na ramionach dźwięczały jej złociste manele, a w uszach ostatnie starościca słowa: „Do nóg rodzicowi waszemu padnę i o błogosławieństwo błagać będę, boć miłuję was i za podwikę pojąć pragnę”. Cichym krokiem podeszła do rodzica i kolana jego pokornie objęła.

— Nie żlijcie się, panie ojcie, jeno pozwolenstwo na nasz związek dajcie, — szepnęła, i rączkę swą w rękę starościca wsunęła.

Deus Mirabilis! — westchnął kasztelan, ale jakoż ja na ów związek kazirodczy przystać mogę, ja-





*Lotnik rzuca w wieloryba harpun z aeroplanu z przymocowaną liną i pławkiem. Za ugodzonym olbrzymem mknie motorówka w oddali.  
Gdy wieloryb straci siły — nadjedzie okręt i w odpowiedniej chwili pochwyti łup*

koż- kiedy on bratem twym, a tyś siostrą jego wszak.

Ogromne od ucha do ucha oczy kasztelanki łzami się wypełniły.

— Nijak to być prawdą nie może, — „chlipała” — nijak wpierw dowody dajcie — panie ojczu, a potem wiarę dam, i rączkami obie- ma zasłoniła liczko spopielale, jak gieselko, które na sobie nosiła.

— Wiary nie dajesz! — char- czącym głosem wykrztusił kaszte- lan i oczy mu na wierzch głowy wylazły, a na rękę twą spójrz, ino, a także na starościca prawicę, ha! nie dziwno ci, ejże?

Zapłoniła się dziewczyna i oczy spuściła.

— Takie one prawice, jako i wszystkie, jako i wasze, panie oj- cze, nie widno, nijakiej różnicy nie- masz — cichutko odparła.

— Et! dziewczka nigdy do trzech zliczyć nie umiała, a miałażby do sześciu kalkulację wyczynić, ję- ką! kasztelan, poczem opuścił gło- wę na piersi i resztą sił wyzionął ducha. *Magdalena Samozwaniec*

## **Wielki przegląd literacki „900”**

Mówi się teraz bardzo wiele za gra- nicą o nowopowstającym przeglądzie li- terackim „900”, który wychodzić będzie w Medjolanie w języku francuskim pod redakcją Massima Bontempli przy współ- udziale najwybitniejszych pisarzy fran- cuskich, niemieckich, angielskich i t. d. oraz większości młodych włoskich lite- ratów.

Ukazanie się „900” poprzedza pro- spekt, w którym Bontempli daje artykuł programowy. Podajemy kilka charakte- rystycznych punktów tego programu:

„Najważniejszym i najpilniejszym za- daniem dwudziestego stulecia jest wybu- dować ponownie Czas i Przestrzeń.

Gdy nam się znowu uda uwierzyć w bezwzględny czas i bezwzględną prze- strzeń, wtedy z łatwością oddzielimy ma- terię od ducha i zajmiemy się niezliczo- nymi wariancjami ich harmonji.

...Z ufnością weźmiemy na siebie dru- gi trud: wysiłek ponownego okrycia Jednostki, pewnej siebie, pewnej, że jest sobą samą, sobą w swej namietności, sobą wobec powszechnej moralności. U szczytu tego wszystkiego będzie być mo- że stał Bóg dobry dla modlitwy i walki. Bo w sumie idzie tylko o zbudowanie centrum, promieni, koła, kilku kątów, trzech wymiarów, kilku wieloboków —

jednem słowem, trzeba wykreslić geo- metrię duchową.

Jedynym narzędziem pracy będzie wyobraźnia.

Musimy się znowu nauczyć sztuki bu- dowania nowych mitów, z których się na- rodzi nowa atmosfera, w jakiej zdolni bę- dziemy oddychać... Kobięce zamiłowanie do muzyki ustąpi męskim dążnościom do architektury. ...Świat urojony będzie za- pładniał i wzbogacał świat rzeczywisty.

Wyobraźnia i fantazja; ale coś od- miennego od bajecznego świata „Tysiąca i Jednej Nocy”. Nie jesteśmy spragnieni złudy, ale przygody; życie codzienne i banalne, oglądane pod kątem czarodziej- skiej przygody, życie jako nieustanne zdobycze bohaterstwa i chytryści.

Sztuka tworzenia stanie się ryzykiem każdej chwili. Nie być pewnym efektów, jakie się da. Obawiać się, czy natchnie- nie nie jest rzeczą sztuczną. Znaczy to skończyć z dogodnościami realizmu i o- szustwami impresjonizmu. Żadnych z gó- ry nakreślonych praw: każde dzieło, każ- dy rozdział, każda karta dyktować będzie swe prawa drakońskie i jedyne, które nie będą już prawem za drugim razem. Zasa- da życia i sztuki na sto lat: iść każdej przygodzie naprzeciw do chwili, kiedy się staje konstelacją, która runie.

...My nowi spragnieni jesteśmy wszechświata, ale nie chcemy być mię- dzynarodowi.



## Teatry warszawskie

Teatr Letni „Albatros” — komedia Fijałkowskiego.

Teatr Mały: „Najdroższa moja Peg” Mannersa.

Chociaż „Albatros” Fijałkowskiego nie jest debiutem scenicznym autora „Pana posła”, to jednak dużo przemawia za tem, że sztuka ta została pomyślana nieco dawniej, a może nawet w samych początkach twórczości pisarskiej Fijałkowskiego; tyle w niej nieprawdopodobieństw sytuacyjnych, szablonowych dialogów, wymyślonych typów i nieco przestarzałych dyskusyj na tematy narodowo-społeczne. Środowisko komedji, filozofja i oświecenie stosunku dziedzica do chłopca, teoria „trwania na ojcowiznie” i t. p. — słowem, całe tło społeczne „Albatrosa” należy do psychiki przedwojennej. Współczesny jest tylko motyw polskiego marynarza, który na swoim okręcie przybywa do portu Gdańskiego. Motywu tego autor jednak dostatecznie nie wyzyskał.

Konflikt ziemi z wodą, instynktu chłopca z instynktem marynarza, został przeniesiony nieoględnie w zaścianek szlachecko - ziemiański, w którym Fijałkowski czuje się może najlepiej, lecz w tej sztuce mało ma o nim ciekawego do powiedzenia. Metoda, którą posługuje się autor w prowadzeniu dialogów i w charakteryzowaniu swych postaci, przypomina technikę komedji Przybylskiego. Nie pozostawia on pola domysłowości widzom, prowadzi rozmowy sceniczne wyłącznie we własnym imieniu, dążąc do zakończenia optymistycznego, które bywa często sprzeczne z psychologicznym założeniem sztuki.

Wynikiem takiej metody, stosowanej przez Fijałkowskiego, był cały szereg nieporozumień. Teza, której rzekomo bronił i którą chciał narzucić (marynarz osiada na roli), niedość się tłumaczy, a nawet ponosi klęskę; to samo dzieje się z obroną wielkiej własności, to samo z filozofją Lipowieckich. Wszystko, o co Fijałkowski walczył, wyszło z opresji komedjowej pomniejszone, a tylko gruboskórny chłop, podkupujący niedołężnego dziedzica, zdobywa sobie względną sympatię.

Zawdzięcza ją autor świetnej kreacji Zelwerowicza, który kapitalnie zagrał rolę Zakrzosa. Charakterystyczną, chociaż szablonową postać zbankrutowanego ziemianina stworzył p. Mieczysław

Frenkiel, którego nieporównany talent komedjowy ma ostatnio tak mało pola do popisu. Właścicielem „Albatrosa” był p. Leszczyński, grający tym razem jak gdyby bez wewnętrznego przekonania.

„Najdroższa moja Peg” należy do tej kategorii utworów komedjowych, które ujmują swoim humorem, sentymentem i lekką, nikomu nie szkodzącą satyrą. Komedia zbudowana szablonowo, oparta na jednej roli kobiecej, rozgrywa się na tle ostatniej woli bogatego wujka, który siostrzenicy swojej chciał zapewnić dobre wychowanie, majątek i męża. Z tego testamentu i z jego interpretacji wynikają wszystkie zakłamania, intrygi, flirty miłosne, a wreszcie narzeczeństwo.

Pani Jarkowska, grająca rolę Peg, jest napewno utalentowaną aktorką; posiada dużo pomysowości scenicznej i temperament. Grze jej brak było wdzięku i pewnej nuty liryzmu, bez której komedia staje się groteską. Bardzo miłym aktorem jest p. Wesołowski.

E. B.

## Drobiazgi teatralne

PIOTR WOLFF O KRYTYCE

Autor „Tajemnicy Poliszynela” opublikował w jednym z czasopism paryskich artykuł, w którym subtelnie i dowcipnie krytykuje... krytyków teatralnych. Jako punkt wyjścia do swych wywodów bierze słowa Henryka Becque'a, który powiedział:

— Grubym błędem krytyki jest jej nieznosna pretensja: chce, aby wierzone, że jest pożyteczna, skuteczna i zbawienne. Tymczasem nic z tego!

Krytyka teatralna? Po trzech dniach nikt o niej nie pamięta, nikt nie wie, co o sztuce napisano, i znów cytuję słowa Becque'a:

— Publiczność jest jedynym krytykiem, przed którym musimy chylić głowę.

wy. Publiczność nie wie, co to jest kłamstwo, perfidia, uraza, zawiść, nienawiść i pochlebstwo. Publiczność nie liczy się ani z dyrektorem, ani z autorem, ani z aktorem...

Komentując artykuł Wolffa, Clement Vautel pisze:

— Jest to twarde prawo, ale nieprzeparte. Nie pomogą żadne protesty. Teatr jest grą brutalną. Młodzi autorzy, — ofiary perfidnych pochlebców — muszą zrozumieć, że nie piszą dla wysługujących się im krytyków, lecz dla publiczności, dla szerokiej publiczności. Muszą zrozumieć, że szkoda marnować piękne, bujne lata na bezowocne walki z wiatrakami. Niektórzy już poczynają sobie zdawać sprawę z tej prawdy. Pojawiają się znaki, że następuje otrzeźwienie... Trzeba się liczyć z tym wstrętnym, obrzydliwym burzującym, który płaci...

— Błąd krytyki, a raczej pewnych krytyków, ciągnie dalej Vautel, polega na tem, że chcą być zawsze w sprzeczności z opinią placącej publiczności. I dochodzi do tego, że ów placący burzujący unika sztuk, które krytyka chwali, biegnie do teatru, gdy krytyka gani. Przepsała między upodobaniami publiczności a pretensjami krytyki staje się coraz głębsza: Publiczność ma dość zrzedliwego mentora. Nie chce go słuchać.

Czy te uwagi są słuszne tylko w Paryżu?

## „BIAŁA KOMUNA” W TEATRZE POZNANSKIM

Teatr poznański wystawił trzyaktową sztukę p. Wandy Zembrzuskiej p. t. „Biała komuna”. Aktorka jest nieznana jeszcze siłą w kunstwie scenicznym. Tembardziej więc należy podkreślić odwagę dyrekcji, że pokazała publiczności tę trzyaktową sztukę. Fabuła opłata się około walki światopoglądów: komunistycznego, kapitalistycznego i marzeń do powrotu na łono gospodarki naturalnej. Motywy miłosne pozostawiła autorka w cieniu, choć w kilku epizodach Halszka Donatówna i Orzecki mają o ideologjach mówić o stanach swoich serc. Publiczność przyjęła „Białą komunę” życzliwie. Większego powodzenia sztuka ta jednak nie miała, gdyż dyskusje programowe o różnych poglądach społecznych nie mogły zastąpić akcji. Dekoracje art. mal. Jarockiego wzbudziły powszechny okłask. Szczególnie w akcie III świetnie urządzona sala z dynamomaszyną.



Słynny śpiewak rosyjski, T. Szalapin przybył niedawno do Sydney Włano go oświeceni. Przyjechał do Australji z rodziną



TEATR LETNI: „ALBATROS“, KOMEDJA W 3-CH AKTACH M. FIJAŁKOWSKIEGO



Akt II scena środkowa: Frenkiel, Hnydzitshi, Zalusiewicz, Rotter-Jarnitaka

Fot. J. Malarski

TEATR MAŁY: „Najdroższa moja Peg“, komedja  
w 4-ch aktach Mannersa

TEATR POLSKI: „Bajka“ Or-Ota

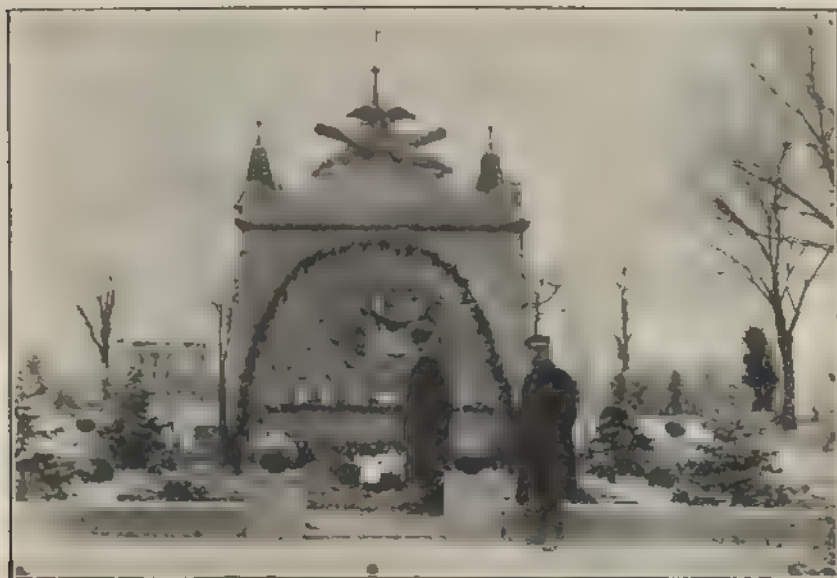
Fot. St. Brażowski



Wykonawcy ról głównych: p. Wesolowski i p. Jarkowska

Pp. Daczyński i Romanówna





Pomnik na cmentarzu górczyńskim w Poznaniu ku czci poległych powstańców z roku 1918. porucz. St. Rybka, gen. sekretarz związku powstańców i wojaków składa w d. 27 grudnia wieńiec na grobie poległych Fot. Rubena

chologii nowoczesnej, której rozwój u bohaterów zanalizował bystro i przenikliwie. Pomimo pewnej chropowatości stylu książka napisana jest w sposób, który łączy jasność wątku i wykładu utworów XVII-go wieku z pogłębieniem psychologicznym najlepszych powieści współczesnych.

E. W.

## Międzynarodowy Konkurs Im. Chopin'a w Warszawie

Zgłoszenia na ten konkurs, który z inicjatywy Wyższej Szkoły Im. Chopin'a a następnie Rządu odbyć się ma przy końcu stycznia w Filharmonii, napływają obecnie w przyspieszonym tempie.

Wśród stających do zawodów młodych pianistów (jak wiadomo, udział brać mogą artyści do 28 roku życia) spotykamy nazwiska, znane już w świecie muzycznym. I tak z wirtuozów zagranicznych przyjeżdżają do Warszawy: Młody profesor Forné z Walencji, Münzer z Berlina, Reinhold z Rygi, Swoboda z Zurychu, uczeń Rosentala Goldzand z Wiednia (odbył już kilka tournée koncertowych z wielkim powodzeniem), Szwarc z Petersburga, Kugel z Wiednia, Van der Paff z Holandji, Mikelka z Pilzna, świetnie zapowiadający się uczeń De Greef'a Momberts z Brukseli, Dobry-Christow z Solji, Lewkowicz z Kijowa.

Kandydatury te przyjęto już. Jak widzieć, z wymienionego spisu niema jeszcze nazwisk Francuzów i Włochów. Napływają one jeszcze zapewne, termin bowiem zgłoszeń ostatecznych przesunięto o dzień. Kandydatury włoskie i francuskie są ważne ze względu na pianizm obu tych krajów bardzo zaszczytnie znany z chopinowskiego stylu.

Z polskich pianistów przyjęto już udział w konkursie całego szeregu adeptów. Stają więc w szranki pp.: Wojtowicz, Sztompcha, Chętkowski, Gimpel, Ochlewska, Wolman, Micewski, Witkowska, Jonasówna, Barówna, Bergwitz, Drzewiecki (młodszy), Etkinówna, Piasiecki. Tak z Warszawy, jak też i z innych miast polskich kandydatury napływają jeszcze. Lista zamknięta zostanie dnia 10 stycznia. Konkurs sam zaczyna się dnia 23 b. m. Napiecie i zaciekanie w świecie pianistycznym ogromne.

Należy jeszcze raz przyklasnąć doskonałej myśli inicjatorów tego konkursu. Chopin przebił sobie drogę geniuszem swym do szczytów pierwszych „klasyków”. Jeżeli miarodajnym dla całego świata, gdy chodzi o wykonanie Beethovena, jest sąd Niemców, cóż dziwnego, że my jedynie możemy ustalać właściwą miarę wykonania Chopin'a.

Jest rzeczą pierwszorzędną wagi, by najwybitniejsi, sławni przedstawiciele stylu chopinowskiego znaleźli się w jury. Mamy tu przede wszystkim na myśli Śliwińskiego i Michałowskiego.

jkb.

## „TORTURA FEDRY” P. H. DEBERLY'EGO.

uwieńczona przez Akademię Goncourt'ów.

P. H. Deberly uczęszczał do kolegium Jezuickiego. Solidne, religijne wychowanie zostawiło niezniszczalne ślady na ukształtowaniu duchowym jego indywidualności pisarskiej. Zaniechał swego zawodu adwokackiego, idąc za głosem powołania artystycznego. Po kilku zbiorach poezji dłuższy czas nie drukował. Dopiero rada życzliwa ś. p. J. Riviere'a skłoniła go do oddania wydawnictwu N. R. F. pierwszej powieści „Bezczelna” („Impudente”), która od razu zdobyła powodzenie. W ślad za nią poszły „Prosper et Brouillafagne”, ostra satyra społeczno-polityczna, „Ennemi des siens” i „Pancloche”, ciekawe studia psychologiczne.

Podobnie, jak w „Bezczelnej”, bohaterką „Tortury Fedry” jest postać energicznej kobiety o mocnej i wybitnej indywidualności. Z tą różnicą wszakże, że p. Helena de Kerbrat jest kobietą nawskroś prawą i uczciwą, co pogłębia jeszcze tragizm konfliktu. Nie mając nic oprócz szczerzej życzliwości dla dużo od niej starszego męża, poświęca się całkowicie wychowaniu i urabianiu na swą modłę pasierba Marka. Z czasem wyłączone i gwał-

towne przywiązanie do Marka przeradza się w uczucie inne, gorętsze i jaskrawsze, aż zazdrość o kochankę pasierba doprowadza ją do wybuchu namiętności i uświadomienia sobie otchłani, która otwiera się u jej stóp. Jedynie sentyment synowski i dziecinna nieświadomość niezdarnego Marka ratują ją od upadku. Poroniona jego próbą samobójczą (z powodów niezależnych od fatalnej tajemnicy macochy) budzi w niej reakcję zbawienia, i autor zapewnia nas, że odtąd p. de Kerbrat będzie dla Marka li tylko matką.

P. Déberly rozwinął temat antyczny Fedry na płaszczyźnie psy-



Henryk Deberly, laureat Akademii Goncourt'ów Fot. Manuel



## Przez kraj wód, duchów i zwierząt

Romanse o „podróżniczym podkładzie” wydarzeń sercowych są chętnie czytane. P. Wacław Filochowski, młody, utalentowany nowelista, krytyk teatralny i feljetonista, postanowił dać naszej publiczności również taki „romans podróżniczy”. Tytuł zaciekawiający, intrygujący „przez kraj wód, duchów i zwierząt” stał się wielce pociągającą atrakcją i tajemniczym magnesem, hypnotyzującym uwagę naszych literacko wyrobionych smakoszków. „Kraj bogów, ludzi i



Wacław Filochowski

zwierząt” F. A. Ossendowskiego jest obecnie czytany pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Wacława Filochowskiego „wody, duchy i zwierzęta” są wkłesłem zwierciadłem tej poczytnej, podróżniczej książki, a na popularności zbywać jej nie będzie, bo któż nie lubi lekkiego, kulturalnego persiflażu? Egzotyka Filochowskiego syci się krajowo kąpieliskowym i uzdrowiskowym bogactwem motywów obyczajowych, leczniczych i przyrodniczych. Autor „wód, duchów i zwierząt” wesoło stwierdza:

„Kraj nasz ma dziwny zaprawdę klimat. Dość wybrać się do-  
kądkolwiek na odpoczynek lub na  
kurację, by zaraz nazajutrz, a mo-  
że tego samego dnia zaczęło lać”.

Złote słowa! Działo się to w Ciechocinku według relacji W. Filochowskiego. Nie lepiej wygląda Truskawiec, Kosów, a nawet Zopoty, wesoło pokazane w ironicznych opowieściach o Panu Kuleszczaku. Udał się szczególnie „egzotyczny typek”, Karol Jechna.

Jego tragicznie - wesoła skromność jest sympatyczna i rozbijająca. „Tydzień polskiej Mesyny” bawi też swoistym humorem...

Wszystkie te straszliwe perypetje egzotycznych przeżyć spotykają bohatera podczas poszukiwań miłej żony, która umknęła, jak się należy spodziewać, przyjacielowi, niejakiemu Zambrzyckiemu vel Jogi Guzyczyraki. Jest to więc nowa Odyseja, którą autor raczył nazwać „Ossendoją”. Drobnie to uchylenie od antycznego tekstu nie spotyka się ze sprzeciwem ze strony czytelnika. Raczej naodwrot. Cieszy się, iż zawrotne tempo wypadków prowadzi go po zaczerpniętych krainach swojskiej egzotyki, na wesoło i figlarnie a z fantazją przedstawionej w tym nowym „romansie podróżniczym” pod wymownym tytułem: „Przez kraj wód, duchów i zwierząt”!

## Notatki literackie

### „WSPOMNIENIE O ADAMIE ŻEROMSKIM”.

Minał rok od zgonu twórcy „Dumy o hetmanie”. Społeczeństwo nie pomyślało dotychczas o uczczeniu jego świętej pamięci. Inicjatywa prywatna zdobyła się narazie na nową edycję „Wspomnień o Adamie Żeromskim”, by z funduszu rozprzedażnego tej książki powstały pieniądze, przeznaczone na cel wyżej wymieniony. Pierwsze wydanie tych wspomnień ukazało się w 55 egzemplarzach. Zostało wytłoczone, jako rękopis, specjalnie dla grona osób, które „laską miłości, przyjaźni i opieki darzyły ś. p. Adama Żeromskiego”. Teraz książeczkę tę odbito w 5.250 egzemplarzach.

„Wspomnienie o ś. p. Adamie Żeromskim” jest piśmem intymnym, opowiadającym miłość i boleść serca ojcowskiego po stracie syna. Jako dokument psychologiczno-moralny, wspomnienie to rzuca również wielce ciekawe światło na stosunek pisarza do jego syna. Opowiadając „dzieje życia Adasia”, patrzy spokojnym, męskim okiem na przemiany zainteresowań, na rozwój fizyczny i psychologiczny swego syna. Bierze dyskretny udział w tych metamorfozach, obserwując jednak dzieje tej najdroższej duszy z wielkim pietyzmem. Pamięta przyjaciół swego syna. Wie, który chłopiec jest lubiany przez Adasia. Wie, jakie stosunki łączą Adasia ze szkołą. Raduje się każdą jego inwencją. Widać, że żyje radością i smutkiem tego chłopca. Wspominając, wylicza nawet drobne wydarzenia z ich wzajemnego współżycia, opartego na miłości i ufności. Gdy przychodzi straszna niszcząca choroba — uważa Stefana Żeromskiego zastraszając się jeszcze bardziej i wyczula na rzeczy, dotyczące jedynaka. Za każdą przysługę spełnioną dla Adasia jest wdzięczny ludziom dobrej woli. Ostatnie stronicę tej książeczki w prostocie, powadze i skupieniu sięgają tragedii. Wstrząsają i budzą głębokie współczucie dla ojca, stojącego w węzłowie konającego syna.

Mistrzostwo pracy Stefana Żeromskiego i w tej książce jest nie do naśladowania. Zdanie za zdaniem układa się w jasne, świetne okresy. Dojrzałość środków artystycznych nawet w tak osobistym utworze utrzymuje pióro Stefana Żeromskiego na wodzy. Tylko to, co jest nieodwołalne do wypowiedzenia jego bólu — pozostaje do dyspozycji czytelnika. Wielka to sztuka — taka umiejętność pisanie. Książeczka ta przypomina, jak wielkiej miary prozaika straciła nasza literatura

### WIELCY I MALI

Wspomnienia wojenne p. Zofji Kossak-Szczuckiej obiegły szeroko po Polsce. Obecnie szykuje się już czwarte wydanie jej książki p. t. „Pozoga”. Miło jest podkreślić, iż książka ta nie jest unikatem. Okazuje się, iż solidne podstawy kulturalne, zdobyte przez tę kresową panią, mogą współzawodniczyć z powodzeniem z literaturą i to nie byle jaką, bo na studiach historycznych opartą. Już utwór p. t. „Beatum Scelus” wskazywał na rzetelne odczytanie i smak artystyczny Zofji Kossak-Szczuckiej. Obecnie wydany tom jej opowiadań o motywach śląskich, historycznych p. t. „Wielcy i mali” utwierdza w przekonaniu co do wysokich literackich kwalifikacji jej pióra. Umiała ona plastycznie odtworzyć czasy „Lisowczyków” na Śląsku Cieszyńskim. Zrećnie odnalazła motywy psychologiczne w tym zbiorowisku ludzkim. Namalowała kilka pięknych figur. Książę Wojciech Gałkowski, jak i ostatnia Piastówna na tronie cieszyńskim należą do literackich zdobyczy jej kulturalnego pióra. Sceny z lisowczykami, batalia przeciw Brantowi, przemówienia przed obliczem Habsburskiem — oto sceny, skreślone z prawdziwym artystycznym opowiadaniem p. Zofji Kossak-Szczuckiej kulturalnemu czytelnikowi dostarczają wiele trwałych, pięknych emocji. Trzeba mieć podziw dla jej artysty.

### ZAPOMNIANY BELETRYSTA

Jako dziwny objaw naszej domnie-maney kultury literackiej należy zanotować fakt, że beletryści starszej generacji nie są wcale u nas czytani. Kto z nowego powojennego pokolenia czyta powieści Kaczkowskiego? Nowych wydań jego książek już dawno nie było. Kto teraz bawi się lekturą Klemensa Junoszy Szaniawskiego? Autor ten jest obecnie zupełnie zapomniany. Beletrystyka Sewera i starszych leży w szatach wymierających ludzi. Warto jednak przypomnieć tych pisarzy nowej generacji czytelników. Z podręczników szkolnych dowiaduje się o humorze Klemensa Junoszy, co nie daje zupełnie pojęcia o tliwej, serdecznej obserwacji życia przez tego pisarza. Stać go było nawet na akordy głębsze. Kto pamięta jego opowiadanie pt. „Froim”, ten wie, iż autor ten umiał sięgać w duszę ludzką głęboko i wydostawać z niej perły humanitaryzmu. Nie zapominajmy, iż opowiadanie to mówi o żydzie oberżyscie. Jakże piękna jest jego nowela pt. „Laciarz”! Zachwycata ona naszych dziadów i ojców. Napewno zaciekaw i nową generację czytelników! Trzeba jednak, by ktoś się zajął utrzymaniem ciągłości w zainteresowaniach naszych beletrystycznych. Tylko tego rodzaju stosunek do twórczości świadczy o kulturze.



## Sztuka starzenia się

Znany pisarz francuski, członek Akademii, Henryk Lavedan poświęcił ostatnią swą książeczkę zagadnieniu starości. Pani Tremière, żona emerytowanego dyplomaty, skończyła 60 lat. Zrozumiała, że starość puka do jej drzwi. Postanowiła zbadać bliżej charakter nieuniknionego gościa, zaprosiła grono przyjaciół do pomocy i przez trzy niedziele z rzędu w zacisznym salonie w Neuilly dyskutowano na ten temat z wielkim ożywieniem. Pierwszej niedzieli roztrząsano pytanie, jak należy nazywać ten okres, który jest schyłkiem życia ludzkiego. Drugiej — jak określić starość. Trzeciej wreszcie — jakimi drogami szukać porozumienia ze starością, dostosowania się do jej wymagań. Albowiem — można się godzić ze starością, można także usiłować ją zwalczać. P. Tremière, dyplomata, jest zdania, że trzeba przyjąć ją chętnie.

— Ona nie lubi czekać. I nie nie zyskamy, powstrzymując jej nadzieje. Jest silniejsza od nas. Wywali drzwi w razie oporu. Tymczasem, jeśli, nie ociągając się, wyjdziemy naprzeciwko niej, okazuje się zazwyczaj względna.

Nie wszystkim uczestnikom dyskusji podobały się te dyplomatyczne ogólniki.

— Zatem albo poddać się, albo bronić do upadłego?

— Ani jedno, ani drugie, — odpowiada p. Tremière. A raczej — i jedno i drugie. Raz — ustępstwo, drugi raz — opór. Stosownie do okoliczności i do własnych sił... Tam, gdzie nie można inaczej, rezygnacja. Gdzieindziej — uporczywe obstawanie przy prawach do życia.

To mówi mężczyzna. A kobiety?

Pani Lapurette, która skończyła 35 lat, jest zdania, że sztuczne odmładzanie twarzy jest szpetne i bezskuteczne. Kobieta — za życia — staje się zabalzamowaną mumią, martwą lalką. Przestaje być sobą, zatracca swoisty wdzięk i powab.

— Wolę mieć policzki, jak szara renefa, zmarszczki pod oczami i białe włosy, — woła w zapale pani Lapurette.

Ale czy ten zapał nie opuści jej, gdy osiągnie sześćdziesiątki?...

Na pytanie, co wówczas będzie robić, pani Lapurette odpowiada.

— Będę podróżowała.

Zaś pani Tremière:

— Będę siedziała w domu.

I dodaje, że w późniejszym wieku lepiej pokazywać się mało, żeby nie razić się na obmowę. Mniej interesować się własnym życiem a więcej — życiem drogich osób. Dawać więcej, niż brać. Być jeszcze bardziej uprzejmą,

dyskretną, uśmiechniętą, szlachetną, dobrą, uczynną...

P. Tremière idzie dalej... Twierdzi, że trzeba za życia już przekroczyć nieuniknioną granicę i rozpocząć życie wspomnieniami młodości, w tych wspomnieniach odnaleźć utracony czar i radość...

Najlepiej jednak, — nie myśleć o starości, nie wiedzieć o niej. Tylko, że udaje się to — dość rzadko.

G.

## Anegdoty

Franciszek Liszt, jako młodziutki chłopiec, przebywając na studiach w Wiedniu, miał jedno marzenie: poznać Beethovena, który również mieszkał wówczas w stolicy państwa austriackiego. Mistrz, który był wrogiem wszystkich cudownych dzieci, nie chciał wszakże słyszeć o przyjęciu genialnego chłopca, któremu wszyscy muzycy przepowiadali wielką karierę. W końcu jednak, na nieustanne i usilne prośby nauczyciela Liszta, Karola Czernego, zdecydował się Beethoven przyjąć rzekomego geniusza. I zawiązała się między nimi taka pamienna rozmowa:

„I cóż ty możesz zagrać, chłopcze?” pyta Beethoven. „Najchętniej gram utwory Bacha i pańskie”. „Bacha i moje?... No, zagraj, posłucham”. Liszt zasiadł do fortepianu i z całym spokojem zapytał: „Jaką fugę Bacha mam zagrać, i w jakiej tonacji?”. „Chłopcze, oświadczył: „Teraz zagram mój ulubiony utwór: pańskie nowe trio”. „Co ty gadasz, chłopcze? A gdzie masz nuty, gdzie akompaniatorzy, skrzypek i wiolonczelisty?” — oponował, nie bez rozdrażnienia, Beethoven. „Mistrzu, pozwól mi spróbować! Dodam sam akompaniament, tam, gdzie będzie potrzebny”.

I Beethoven w zdumieniu, graniczącym z osłupieniem, słuchał — o ile wtedy jeszcze mógł słyszeć — do ostatniego tonu, a gdy przebrzmiał końcowy akord, zbliżył się do chłopca, objął go silnym uściskiem, złożył pocałunek na jego czole i rzekł: „Dosyć! zrozumiałeś mnie! Idź i spraw, żeby mnie inni zrozumieli”.

Gdy Karol Marja v. Weber (1786 — 1826) ukończył partycję „Wolnego Strzelca”, swojej najslawniejszej opery, przesłał ją Beethovenowi z prośbą o wyrażenie opinii. Beethoven partycję przeczytał i odesłał Weberowi z krótką radą, żeby więcej oper nie pisał. Weber, niemilem dotknięty, przy pierwszym spotkaniu z mistrzem spytał, czy rzeczywiście uważa, że muzyka do „Wolnego strzelca” jest taka zła, że mu dał podobną radę? „Taka zła?” — odparł Beethoven, „Nie, przeciwnie, uważam, że jest taka dobra, iż drugiej takiej opery nie napiszesz”.

Tristan Bernard miał przez długi czas służącego, który niejednokrotnie dawał mu powód do gniewu, ale rozbrajał go zawsze dowcipną odpowiedzią. Pewnego dnia, a było to na wsi, stłukł cylinder od lampy, zaś na uwagę Bernarda, że powinien obchodzić się delikatniej z takimi kruchymi przedmiotami, służący odparł: „Przecież pan dobrze wie, że szkło od lampy pęka zawsze przy pierwszym zapalaniu”.

Zapytany pewnego razu, jaka jest różnica między panem a jego służącym, Tristan Bernard odparł: „Obaj palą te same cygara, ale płaci je tylko jeden”.

## TO I TO

Do młodego autora (francuskiego), którego sztuka odniosła kolosalny sukces, zwraca się ktoś z następującym komplementem:

— Ale pana powodzenie nie zepsuło, jak wielu innych. Pan przynajmniej pozostał skromny.

„Skromny” autor z uśmiechem:

— Ale ile mnie to kosztuje.

Sąd pośmiertny:

Gdy była mowa o sfilmowaniu „Carmeny”, reżyser zebrał wszystkich wykonawców, ażeby im wytłumaczyć swoją koncepcję słynnej noweli Prospera Merimée.

Raquel Meller, która miała interpretować Carmenę, nie podzielała zdania reżysera.

— Pani — rzekł reżyser — mówię ciagle o operze, a ja mam zamiar „kręcić” dzieło Prospera Merimée.

— To niech go pan tutaj sprowadzi. Niech on osądzi, kto z nas miał rację.

Mowa była o dyrektorzce teatralnym, który nie cieszy się zbyt dobrą opinią.

— Był dla mnie bardzo miły — mówi jeden z autorów dramatycznych.

— Doprawdy?

— Nie wiem, jakie mu stawiacie zarzuty, ale sposób, w jaki ze mną potraktował te sprawy, był bardzo uczciwy...

Jeden z kolegów przerywa:

— „Ostrożnie, nie rzucaj lekkomyślnych słów, które potem tak trudno odwołać”.

Przed premierą zgłasza się piękna pani do sekretariatu teatralnego z następującym żądaniem:

— Proszę o „zaproszenie” na premierę.

— Z jakiego tytułu?

— Zajmuję się reklamą.

— W jakim piśmie?

— W żadnym piśmie, ale znacznie lepiej...

— Reklamą mówioną.

( h )



# Budowa największego teleskopu na świecie

Prasa zagraniczna, nie wyłączając zawodowej, często zajmuje się teraz sprawą budowy największego teleskopu na świecie, jaki ma posiadać specjalnie w tym celu wzniesione obserwatorium na południu Francji.

Ogromne koszty, związane z tą budową, pokrywa całkowicie p. Dina—arcmiljoner, który, będąc z pochodzenia rumunem, mimo to powziął szczęśliwą myśl ofiarowania swego cennego daru narodowi, dającemu najlepsze gwarancje należytego użytkowania go, dzięki swemu geniuszowi i wspaniałemu polotowi galijskiego ducha.

Projektowana średnica, czyli otwór nowego teleskopu, ma wynosić aż 5 metrów, bijąc rekordową dotychczas śred-

Współczesny zaś teleskop zaprojektował nas dalej: na progi t. zw. „drogi młecznej”, leżącej już po za „naszym” wszechświatem, i jeszcze dalej — w przestrzenie „międzygalaktyczne”, usiane owymi mgławicami, na których obecnie skoncentrowana jest uwaga astronomów, jako na przypuszczalnych zbiorowiskach innych „wszechświatów”. Budowa i skład tych mgławic posiada wielkie znaczenie dla nauki, i z czasem może wypłyne ślad rozwiązanie zagadki o sposobie powstawania światów.

Teleskopy, używane obecnie, są dwóch typów: refraktory i reflektory. W pierwszych używają się soczewki wypukłe, i obraz ciała niebieskiego otrzymuje się przez załamanie promieni świetlnych.

W reflektorach stosuje się zwierciadła wklęsłe, o powierzchni parabolicznej, a odpowiedni obraz powstaje przez odbicie promieni w zwierciadle.

Używanie soczewek do wielkich teleskopów napotyka trudności wprost nie do przewyciężenia, zjawiające się przy felerowaniu szkieł optycznych o dużej średnicy. Największą lunetą soczewkową, obecnie w użyciu, jest teleskop w obserwatorium astronomicznym Yerks'a w Chicago. Obiektyw jej mierzy około 1 metra. Na wystawie paryskiej w 1900 roku była ustawiona podobna luneta z obiektywem wynoszącym 125 centym. Przy tej średnicy długość jej musiała mierzyć aż 60 metrów, co ją czyniło nader niewygodną w użyciu, nie mówiąc już o innych jej brakach, z których najpoważniejszym było znaczne rozproszenie światła, nader szkodliwe dla wyrazistości obrazu.

Zwierciadło wklęsłe zdaje się lepiej odpowiadać zadaniu, pochłaniając minimum światła i nie wymagając tak skomplikowanego mechanizmu.

W miarę zwiększania lustra, użytego do budowy teleskopu, wzrasta ilość światła, dostającego się doń, co pozwala znów, powiększając odległość ogniskową, otrzymywać większe obrazy. Księżyc, albo Mars, rozpatrywane przez taki silny tele-

skop, dadzą obrazy możliwie duże z znaczeniem detali.

Inaczej się rzecz przedstawia, skoro potężny teleskop zastosujemy do obserwacji gwiazdy. Obraz jej bynajmniej nie będzie powiększony, ale raczej sprecyzowany. Gwiazdy znajdują się od nas na tak zawrotnych odległościach, że trzeba liczyć od 10.000 do 100.000 lat, aby światło od nich mogło dojść do nas. Rozpatrywane gołym okiem, przedstawiają się jako punkciki świetlne i takimi pozostają w najsilniejszych teleskopach. Przy zastosowaniu jednak ostatnich, świetlny punkcik staje się czystszy, wyraźniejszy, i częstodwiegwiazdy, na pozór stykające się, w polu silnego teleskopu rozdzielają się, aby ukazać między sobą nowe gwiazdy, dotychczas nieznanne. Rolą zatem wielkiego telesko-



Reflektor w obserwatorium Yerks'a

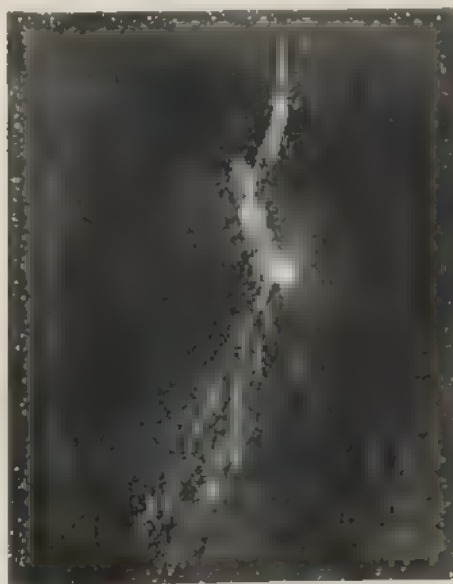
nie instrumentu, ustawionego na górze Wilsona w Ameryce, t. j. dwa i pół metra.

Jakkolwiek liczbowo ta różnica nie zdaje się uderzać wyobraźni, zobaczymy zaraz, że w budowie przyrządów astronomicznych jest to olbrzymi skok, tak olbrzymi, że aż wymaga zastosowania w danym wypadku odrębnej techniki.

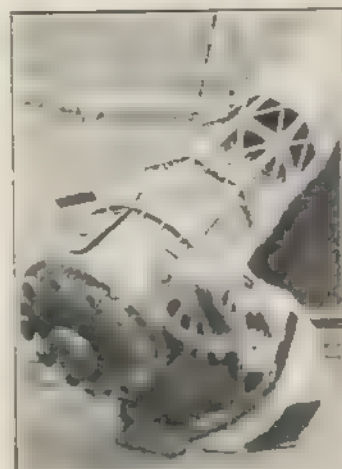
Przedtem jednak należy w kilku słowach wyjaśnić, czym się tłumaczy naukowa potrzeba budowania coraz potężniejszych teleskopów, nie bacząc na ogromne koszty i trudy, związane z ich instalacją.

Teleskop jest tym przyrządem, który jeśli nie pozwolił nam odpowiedzieć na wszystkie pytania, związane z zagadką naszego bytu kosmicznego, to jednak określił nam naszą pozycję względną w bezmiarze wszechświata, pozwalając sięgnąć wzrokiem do tych przestrzeni, o których nawet rachunek wyraża się niejasno.

Ewolucja naszych pojęć o wszechświecie postępowała naprzód w znacznej zależności od doskonałości i mocy przyrządów astronomicznych, posiadanych w danej epoce. Skromna luneta Galileusza — pierwszy teleskop — wiąże się z przejściem w astronomii od pretensjonalnego systemu geometrycznego, który uważał ziemię za ośrodek naszego wszechświata, do obecnych naukowo uzasadnionych pojęć o układzie planetarnym.



Mgławica, zawierająca miliony gwiazd, niewidocznych dla gołego oka



Teleskop na górze Wilsona

pu przy obserwacji gwiazd jest raczej separowanie ich.

Łatwo zrozumieć, jakie znaczenie może posiadać to w zastosowaniu do mgławic. Twory te, w wielu wypadkach przedstawiające skupienia milionów gwiazd, mogą być obserwowane w różnych okresach swej ewolucji, co, jak zaznaczyliśmy, jest dla nauki kwestią pierwszorzędnej wagi i co samo już mogłoby wyłomaczyć dążność do budowania potężnych teleskopów.

Ale tutaj natrafiamy na trudności tak poważne, że przy dalszym powiększaniu wymiarów zwierciadeł teleskopowych należy pomyśleć o zmianie dotychczasowej ich konstrukcji.

Już budowa wielkiego zwierciadła o otworze 2,5 metra dla obserwatorium na górze Wilsona natknęła się na cały szereg szkopulów, które zostały pokonane dzięki tylko mrówczej pracy, wielkim wysiłkom i artyzmowi wykonawcy, p. Ritchey.

On również ma powierzone zbudowanie zwierciadła dla największego teleskopu, jaki powstanie wkrótce, o którym mowa na początku niniejszego artykułu.

Wytrawny ten konstruktor i, powiedzmy, artysta w swoim rodzaju, uznał za niemożliwe przygotowanie zwierciadła o otworze 5 metrów zwykłymi, dotychczas stosowanymi sposobami. Odlanie bowiem jednolitego bloku szklanego, o ciężarze kilku ton, nadanie mu po-



tem matematycznie ściślej powierzchni parabolicznej i wreszcie umieszczenie takiego kolosa w lunecie → przekracza, krótko mówiąc, możliwości sił ludzkich. Przypuściwszy nawet, że takie dzieło kunsztu zostałoby stworzone, to należałoby się obawiać bardzo niepożądanych następstw przy zastosowaniu podobnego zwierciadła do obserwacji nieba, ze względu na deformację, zachodzącą w tak wielkiej masie szkła, spowodowane zmianami temperatury, i na związane z tem zniekształcenie obrazów.

Dlatego też w Obserwatorium paryskim, gdzie są skoncentrowane prace przygotowawcze do wielkiej budowy, czynione są próby z zastosowaniem zgoła nowej techniki konstrukcyjnej.

Polega ona na tem, iż zwierciadło jest wykonane ze zwykłego szkła grubości tylko kilku centymetrów i odpowiednio oszlifowane. Szkło to spoczywa na szeregu podkładek również szklanych, przyklejonych do jego tylnej strony. Wreszcie wszystko razem przyklejone jest do innej płyty szklanej, służącej za podstawę. Dzięki szklanym podkładkom, zachowane jest swobodne krążenie powietrza pod całem zwierciadłem, a zatem zabezpieczona równość temperatury w różnych jego miejscach, dająca gwarancję stałości powierzchni parabolicznej.

Całość następnie, umieszczona na szkieletie metalowym, jest umiejętnie zrównoważona za pomocą odpowiednich

przeciwwag, uwzględniających różne pozycje zwierciadła podczas obserwacji.

Zwierciadła tego systemu były zbudowane na próbę w mniejszej skali, dając naogół dobre rezultaty. Obecnie czynione są próby ze zwierciadłem o otworze półtora metra.

Nie należy wątpić, że technika współczesna, poparta obfitymi środkami pieniężnymi, wskaże właściwą drogę do urzeczywistnienia projektu, którego celem jest uchylenie zasłony, kryjącej tajemnice bytu.

Inż. Z. Kacprowski

## Z literatury amerykańskiej

*Women by Booth Tarkington.* Książki, która już w pierwszych miesiącach po ukazaniu się doczekała się licznych wydań w Ameryce i w Anglii, którą natchmiast dla swego kontynentalnego wydania nabyła lipska firma Tuachnitza, nie można nazwać ani powieścią ani szkicami ani studjum. Są to luźne ze sobą powiązane opisy wewnętrznych przeżyć kobiet amerykańskich. Mr. Tarkington nie rozdiera szat nad współczesną Amerykaną na wzór innych pisarzy, nie gorszy się jej zachowaniem, jej żądzą zabawy i rozrywek. Niel z całą bezstronnością, z całkiem leciuchną i nieszkodliwą przymieszką ironji, zapoznaje nas z mieszkankami eleganckiej dzielnicy któregoś z miast Ameryki. Wszystkie te niewiasty, matrony i młode mężatki, podlotki, panny na wydaniu i starzejące się panny należą do jednego i tego samego, „smart set”. Niema między doskonalemi portretami ani jednej kobiety pracującej, ani jednej kobiety z gminu ani też z najwyższych dziesięciu tysięcy plutokracji amerykańskiej. Jest uśmiechnięta, swobodna, zamożna mieszcanka, której życie zdaje się składać z pięknych salonów, futer i biżuterji, której dzień upływa na prowadzeniu domu, na literackich wieczorach w klubie, na dancjach w klubie i na graniu golfa w klubie.

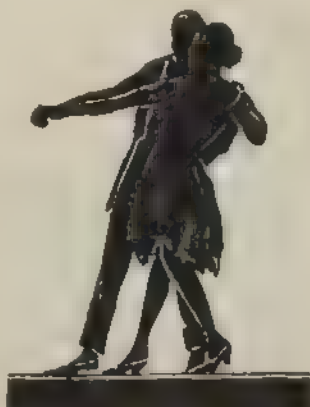
Dwie poważne członkinie tego literackiego klubu, Mrs Cromwell i Mrs Dodge, na wstępnych stronach książki dyskutują o tem, jaką powinna być książka o kobietach. Energiczna Mrs Dodge zbija zdanie Mrs Cromwell, że książka taka powinna mieć bohaterkę, wkoło której centralizuje się konflikt albo dramat i, wokoło której grupują się mniej lub więcej plastycznie inne charaktery. Nie, powiada Mrs Dodge, życie nasze składa się przeważnie z myśli i czynów w związku z naszymi dziećmi i naszymi sąsiadami oraz ludźmi, którzy przypadkowo zjawiają się i znów przypadkowo znikają z naszego, naszych dzieci i naszych sąsiadów życia. Książka o nas powinna się zajmować tymi wszystkimi, zarówno jak nami samymi.

„Nie mówisz pani o mężach?”—wtrąciła pani Cromwell, „czyżby oni...” „I oni powinni być objęci książką”, przyznała p. Dodge. Ale zarówno mężowie, jak i ci, którzy chcą nimi zostać, na kartkach książki powinni zajmować tylko tyle miejsca, ile go zabierają w naszych myślach i uczynkach

„I jeszcze jeden warunek”,—dorzu-

cila Mrs Dodge, z trochę ostrym uśmiechem—„Niech książka o kobietach będzie krótka, niech pod płaszczykiem zwięzłości autor ukryje nieświadomość niektórych stron naszego charakteru; tem zasłuży sobie najbardziej na nasze pobłażanie, będzie to jego najlepszym usprawiedliwieniem”.

Więc poddaje się warunkom Mrs Dodge z pokorą Booth Tarkington i książka jego jest rzeczywiście krótka, ale choć brak w niej napięcia intryg i dramatycznych powikłań, zajmuje, fascynuje, a przytem poucza. Typy jego nie są wyłącznie amerykańskie. Taką samą dobroduszną Mrs. Cromwell, taką samą surową dla blźnich Mrs Dodge spotkać można i w miastach europejskich. I znajomymi nam się wydają i kochliwe podlotki, i starzejące się, na cudzych mężów polujące panny, i reklamująca wiecznie swego męża Mrs Battle. Nie obca wydaje się nam światobliwa pani Braithwaite, chodząca z głową zadartą do góry, by zaznaczyć swoją bliskość nieba, a oddalenie od ziemi, flirtująca z szoferem i wiodąca za sobą jak psa na sznureczku, posłusznego i niepozornego męża. Wszystkie te postacie przeszczepić by można z małemi zmianami na grunt europejski, tylko życie ich mniej gładko by wtedy płynęło, mniej by w niem było rozkoszy bez troski, więcej prawdziwych a mniej urojonych zmartwień. Książkę „Women” można polecić każdemu, kto chce dzień na miłej spędzić lekturze. Pomimo domieszki ironji, pozostaje po niej wrażenie przyjemne i odświeżające, wywołujące nadzieję, że młody autor wkrótce inną obdarzy nas opowieścią.



*Revelry by Samuel Hopkins.* Wciąganie współczesnych zdarzeń politycznych do literatury wchodzi teraz w modę. Żywi i umarli politycy stają się bohaterami powieści. Ale nie często zdarza się, by pisarz tak i jak autor „Revelry” miał odwagę pod bardzo przejrzystą osłoną opowiadania odsonić skandale i korupcję za kulisami polityki prawie że dzisiejszej. W książce swojej Hopkins pisze o zepsuciu, jakie za czasów zmarłego prezydenta Hardinga panowało w administracji amerykańskiej, pisze o skandalu naftowym, o samobójstwie Jessa Smitha, przyjaciela serdecznego dawnego generałego prokuratora Duagherty, pisze o wszystkich sprawkach tak zwanego Ohio gang. Pod postacią prezydenta Markhama łatwo poznać Hardinga, tak jak bez wahania każdy pozna Coolidge'a w wiceprezydencie Eliocie. Dlaczego, powiada jedna z osób książki, wybrano prezydentem Markhama? Bo po Rooseveltcie i Wilsonie potrzeba było osobistości bardziej giętkiej, a taką pomimo, że, nie wzięłyby centa dla siebie, jest obecny prezydent. W książce spotykamy się po raz pierwszy z Markhamem przy partii pokera, w której rej wodzi Dan Lurcock, przebiegły i chytry polityk, rozdzielający synekury, pobierający łapówki od przemysłników, i zresztą starający się o usunięcie tych, którzy milczeć nie umieją. Andy Gandy, minister zdrowia, jest opisanym, jako człowiek, który strzyże uszyma, jak tylko poczuje pieniądze.

Willis Markham, naiwny, miły i ludzki, spostrzegłszy, że jest narzędziem w rękach ludzi niesumiennych, zażywa truciznę i umiera w oczach przyjaciół. W rzędzie tych, którzy odpowiadają umierającemu, jawia się i wiceprezydent:

„I przyszedł wkońcu, mający niebawem zostać prezydentem, wiceprezydent... i patrząc niezbadanym wzrokiem swych rybich oczu na umierającego, zapewnił go, że polityka jego nie ulegnie zmianie. Wiceprezydent nie wiedział, jaką była polityka Markhama, nie wiedział tego i sam Markham. Ani też nikt inny. „Gloria męczeństwa rzuciła swe upiększające promienie na wszystkich drogich i blizkich Markhamowi. Naród płakał”.

Książka Hopkinsa jest sensacją dnia, wywołała w niektórych kołach oburzenie, w innych zadowolenie. Krytycy zwą ją dynamitem, inni trąbą, mającą zbudzić śpiący naród.

S. G.



# DOM — PIRAMIDA

(Rewolucja w architekturze)



Nowy monumentalny gmach w Paryżu, pomysłu architekta Sauvage'a, zbudowany w kształt piramidy

Od dawna już architektura naszych miast, zwłaszcza wielkich środowisk ludzkich, wymagała reformy. W pierwszym rzędzie przemawiały za tem względy higieny. Stłoczone na wąskich ulicach pozabawione nierzadko całkowicie dobroczynnego działania słońca i powietrza, mieszkania nie były terenem, gdzie człowiek mógł rodzic się zdrowy i żyć w zdrowiu. Wprawdzie zarządy miast usiłowały złagodzić zło przeprowadzając regulacje ulic, rozszerzając je w miarę możliwości, ograniczając wysokość gmachów, aby nawzajem nie rabowały sobie światła, ale wszystko to były tylko tymczasowe środki zaradcze środki częściowo leczące nie zaś radykalne lekarstwo.

Ze zrozumienia tych higienicznych błędów wielkich miast zrodziła się w następstwie idea miast-ogrodów. Niemal w każdym większym mieście powstały takie dzielnice i dzisiaj rozwijają się w dalszym ciągu. Przykładem są choćby rozmaite kolonie w Warszawie, duże hygienicznie stworzone osady na Żoliborzu czy gdzieindziej. Ale i ta droga nie była jeszcze radykalnym rozwiązaniem problemu. Miasta-ogrody z konieczności muszą być odległe od centrum, domki czy wille są bądź co bądź bardzo jeszcze kosztowne i dlatego dostępne tylko dla wybrańców losu, wreszcie trudno wyobrazić sobie wielkie środowisko, wyłącznie w ten sposób stworzone, gdyż musiałoby ono zająć wprost niesłychaną przestrzeń. Miljonowe miasto-ogród przestałoby być miastem.

Na nową drogę rozwiązania problemu mieszkalnego w myśl zasad higieny wszedł ostatnio Paryż, a pomysł architekt francuskiego H. Sauvage'a może snadnie stać się zaczątkiem wielkiego przewrotu w budowie miast. Domy piramidy, domy terasy — oto, jak możnaby krótko określić nowy pomysł. Ponieważ

głównym złem ulic miejskich jest to, że wielopiętrowe domy, wznoszące się naprzeciwko siebie, rabują sobie nawzajem światło i powietrze, ponieważ podwórze ich obudowane szczerlnie oficynami zmieniają się nieraz w jakieś potworne, ciemne szyby górnicze, więc logicznie nasuwał się wniosek, że z jednej strony należy zerwać z systemem oficynowo-podwórzowym, z drugiej zaś należy w miarę wzrostu przeciwnych domów oddalać od siebie ich szczyty, aby umożliwić swobodniejszy dostęp światła i powietrza. Forma piramidalna była niewątpliwie najlepszym rozwiązaniem problemu.

Taki gmach piramidalny obmyślił już dość dawno architekt H. Sauvage i opracował szczegółowe plany. Przeznaczał go na dom robotniczy, jaki zamierzała wznieść gmina w Paryżu. Przez kilka lat trwała walka o ideę, architekt paryski znalazł w niej dzielnego pomocnika, radnego muni-cypalnego p. Dherbécourt. Zapadła wreszcie odnośna uchwała gminy, przystąpiono do budowy, a niedawno dom został oddany do użytku mieszkańców.

Ogromny gmach, zbudowany wedle planów Sauvage'a, wznosi się narożu trzech ulic: Des Amiraux, Hermann Lachapelle i rue Nouvelle. Boki dłuższe mierzą po 60 mtr. z górą, bok wąski 25 mtr. Ma on wysokość siedmiu pięter, każde zaś piętro wznosi się na cofającej się kolejno w głąb terasie. Zasadnicza konstrukcja prostopadłych słupów i poprzecznych belek jest zbudowana z żelazo-betonu, wewnątrz tej ramy wypełniają inne materiały budowlane, więc cegły, gips i t. p. Piwnice, magazyny i t. p. znajdują się nie pod poziomem ulicy, jak zazwyczaj, ale są rozmieszczone zwłaszcza na wysokości trzeciego i czwartego piętra, wewnątrz gmachu, tam, gdzie światło słoneczne nie dochodzi. Wygodne klatki schodowe i windy, umieszczone w specjalnych bocznych występach, ułatwiają dojście na każde piętro.

Każde mieszkanie składa się z dwóch lub trzech pokoi w amfiladzie, których drzwi wychodzą do przedpokoju. Ogrzewanie jest centralne indywidualne, to znaczy, że każde mieszkanie posiada tylko jeden piec, którego ciepło przy pomocy odpowiednich urządzeń można rozprowadzać po przyległych pokojach. Szpitalnie i bielizniarki mieszczą się w ścianach. Ponieważ piwnice, jak wspomniano, znajdują się mniej więcej w połowie wysokości domu, więc wszyscy mieszkańcy mają do nich wygodny dostęp. Śmieci i odpady wrzuca się do hermetycznie zamykającego się leja, skąd kanałami spadają do wózków, umieszczonych w podziemiu.

Główną nowością są terasy, biegnące wzdłuż każdego mieszkania. Są one skonstruowane w ten sposób, że z piętra na piętro zaglądać na nie nie można (dzięki odpowiednio umieszczonym występom). Wobec tego lokator jest zupełnie nie skrupowany na swej terasie, w ciągu kilku ciepłych miesięcy roku może tu jeść, wypoczywać, oddawać się ćwiczeniom gimnastycznym, a nawet urządzać sobie słoneczne kąpiele, nie obawiając się niedyskretnych spojrzeń sąsiadów. Tutaj też mogą się bawić dzieci w pełnym świetle

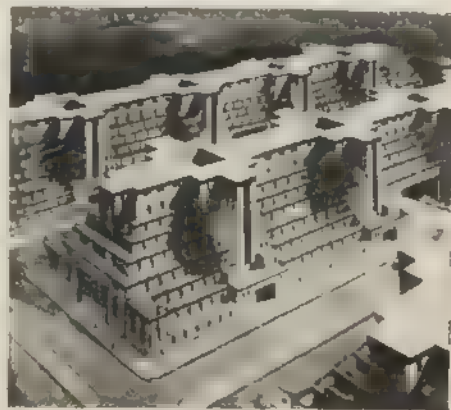
i powietrzu, pozostając stale pod okiem rodziców, uchronione przed wszystkimi fizycznymi i moralnymi niebezpieczeństwami ulicy.

Bardzo pomysłowo wyzyskał Sauvage sam środek terenu, więc miejsce, gdzie w domu współczesnym znajduje się zazwyczaj podwórze. Stworzył on tutaj ogromny basen kąpielowy, długości 33 metr., a średniej szerokości 12 mtr., który służyć ma zarówno lokatorom domu, jak i innym okolicznym mieszkańcom.

Ceny mieszkań w tym robotniczym raju są niesłychanie niskie. Mieszkanie, złożone z dwóch pokoi i kuchni, wraz z wszystkimi świadczeniami, gazem, elektrycznością i wodą, kosztuje miesięcznie 99 franków, mieszkanie trzechpokojowe 117 franków. Rodziny robotnicze, obdarzone większą liczbą potomstwa, mogą jeszcze nawet z tej ceny otrzymać pewne ulgi.

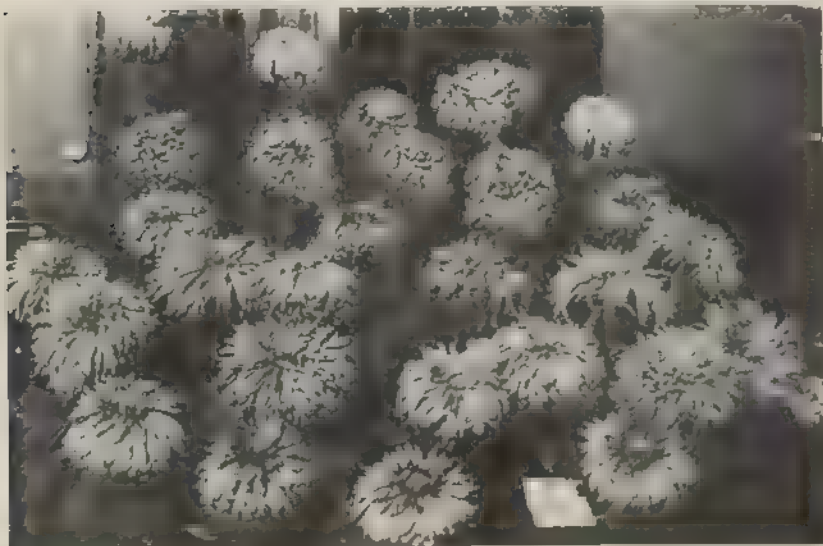
Zrealizowawszy szczęśliwie swój plan, p. Sauvage nie zamierza bynajmniej rezygnować z dalszego działania. Marzy on o całych miastach piramid w ten sposób zbudowanych. Ponieważ domy jego mają być produkowane fabrycznie, a następnie składane z gotowych już części, przewiduje, że dzięki temu uda się uzyskać oszczędność aż do 40 procent obecnych kosztów budowy. W dalszych swych konstrukcjach zamierza na wielką skalę zastosować prasowaną słomę i masę korkową w osłonie ze stalowej blachy, co również przyczyniłoby się do obniżenia kosztów budowy, a jednocześnie ogromnie przyspieszałoby jej dokonanie. Nowością, którą bardzo gorąco propaguje, jest system elektrycznego ogrzewania przy pomocy akumulatorów, któreby wyzyskiwały energię elektryczną, marnującą się dzisiaj w nocnych godzinach. P. Sauvage spodziewa się również, że przykład jego znajdzie naśladowców poza granicami Francji i przybliży tę szczęśliwą przyszłość, kiedy nawet ubodzy ludzie będą mogli korzystać w pełni z powietrza i słońca, krzepiąc się zdrowiem na ciele i na duchu.

St. I.



Miasto przyszłości — jak je sobie wyobraża architekt Sauvage





Wśród morza kwiatów, które obficie była obelana wystawa — uwagę na siebie zwracały złocone w tonach morelowo-pomarańczowo-łososiowych najprzedniejszych odmian z kwiatami o średnicy 30—36 ctm. hodowli amatorskiej inżyniera Maurycego Szmidt, znanego w kołach ogrodniczych miłośnika

Fot. Marjan Fuks

## W zawrotnym tańcu

### Charleston, Branle i Black bottom

„Sala stłoczona. Dyszące tona,  
Nagie ramiona, wśród fraków tła;  
Tańczą skłębieni w ciasnej przestrzeni,  
Szampan się pieni. Muzyka gra”

(BOY)

Dancing, ogłuszający hałas Jazz bandu, muzykanci walą w bębny, dmą w saksofony, bębnią w fortepian, pochylając się sami, jak gdyby w jakimś konwulsyjnym tańcu. Od czasu do czasu wydają dzikie okrzyki, którym przytupując wtóruje sala. Wśród stolików tańczą pary. Rozmawiają. Z gracją, dystynkcją i precyzją, z zapamiętaniem, rozmachem i namiętnością, śmiesznie, groteskowo, lub lubieżnie, prawie bachicznie. Przyglądają im się ciekawie widzowie z prowincji, amatorzy nocnych rozrywek, żądni wrażeń mieszkańcy miasta. Spotkać tu można zawsze znajomych. Charleston to namiętność dzisiejszego dnia. Nowość? Taniec murzyński? Łamańce nie chrześcijańskie.

Śmiejmy się z tego. 350 lat temu tańczono Charlestona na dworze jej chrześcijańskiej i bardzo pobożnej królewskiej gości królowej Katarzyny Medycejskiej.

Dawno już we Francji znano tańce tawarzyskie i dawno byli zapaleni ich zwolennicy. Kardynał Richelieu, przybrany w zielone dworskie spodnie, naszyty dzwonkami, tańczył przed królową Anną austriacką sarabandę i przydzwaniał sobie w tańcu kastagnetami. Tańczono poważną Chaconne i wesołe Guigue, Sicilienne i Musette. Sully, przyjaciel Henryka z Nawarry, w wieku podeszłym uprzyjemniał sobie wieczory, tańcząc solo, urozmaicone podrygami i skokami własnego pomysłu. Ale już wiele lat przedtem, dwór, a z nim cała Francja, tańczyli „branle”, który nie był niczem innym, jak tylko dzisiejszym Charlestonem. Tańczyła go tak pięknie, tak ponętnie uroczą córką królowej Katarzyny, Margareta de Valois, że Don Juan d’Austria, nie bacząc na naprężone między Francją a swoją ojczyzną stosunki, jednej nocy osiadł na konia i pognał w mgłę i zimnie, z Brukseli do Paryża, by ujrzeć tańczącą królową. Jeżeli mamy jakieś wątpliwości co do tożsamości Branle z Charlestonem, posłuchajmy, co pisze uczony a pobożny kronikarz, kanonik z Langrey, Thoinet

Arbeau. W kronikach jego z roku 1589 czytamy: „Branlé, ten prześlizgnięty taniec ludowy, polega na kołysaniu ciała na jednej nodze. Drugą nogę podnosi tańczący w tył, poruszając nią równocześnie. Później następuje zmiana pozycji, tancerz staje na palcach, noga uderza o nogę, obecny zwraca się na lewo, potem na prawo, znów łączy się je, teraz wyrzuca-

jąc drugą nogę w bok, tak jak do kopnięcia.

Z opisów figur zwanych branle podwójną, gaskońską lub burgundzką, poznamy najrozmaitsze typy i ruchy Charlestona. Tylko, że dziś w orkiestrze miejsce fletu i kobzy zajmuje saksofon. Ale tak jak widzowie na dancingu, tak na dworze w Luwrze przytupywała i przyspiewywała do tańca nie tylko sama królowa, ale i cały dwór i sam kardynał de Bourbon.

Uciekający przed prześladowaniami religijnymi emigranci francuscy przywieźli ze sobą do Kanady i Ameryki ten taniec, który dzisiaj powrócił do nas z miasta Charleston, od którego wziął swoją nazwę. W mieście tem żyją jeszcze potomkowie emigrantów francuskich. Zresztą Branle jako Brawl znany był później w Anglii, a tańczono go i w Niderlandach.

Ziudzenie o pochodzeniu murzyńskim Charlestona jest już rozwiane, a kto wie, czy to nie będzie jego zgon, bo od czasów Cake-walka narodziły się nowe lanki ekscentrycznych i dzikich tańców i muzyki murzyńskiej. Tańcem mającym wyprzeć Charlestona z salonów, dancingów, barów i klubów nocnych ma być „Black Bottom” (Czarne dno)

Tam, gdzie nad brzegiem Mississipi, błoto uszło w zdatne do tańca klepisko, przy dzikich dźwiękach bębnow, piszczałek i kotłów tańczą murzyni, przyspiewując:

„Take Your foot out of the mud and stick it in the sand”.

Wyjm nogę z błota i wsadź ją w piasek.

Tańczą Black Bottom, który już jest „la rage” Nowego Jorku, a wkrótce ma być i namiętnością Europy. Bo rytm jego porusza, a dziś nie „pas”, ale rytm decyduje o popularności tańca. Więc wszystko jedno, czy przyjdzie do nas w naturalnych, od murzynów zapożyczonych łamańcach, czy w dystygowanych, przez cywilizowanych mistrzów tańca przystosowanych formach. „Black Bottom”, gdy zawita do Europy, nie ominie niezawodnie i Warszawy.

St. G.







*Mecz piłkarski wśród  
kobiet murzyńskich  
szczeru Uhangl. Na  
zawodach był obecny*

*znany piłarz francuski  
Andrzej Gide. Wrę-  
czył on nagrody zwycię-  
stwu zespołowi.*



*Negroule, szczeru Uhangl z nad rzeki Chari, również z pasją uprawiają piłkarstwo. Mecz na koniach*



Podług dzisiejszego  
stanu wiedzy

**Odol**

jest bezwarunkowo  
najlepszy środek do  
pielęgnowania ust i zębów

Ciekawe stwierdzenie: Hygieniczne, to znaczy zapobiegawcze, dezynfekujące oraz współdziałające przy leczeniu bezpośrednie działanie Odolu na zęby, usta, migdały oraz gardło, jak również pośrednie działanie na cały organizm okazuje się według opinii naukowej i tysiąckrotnego praktycznego doświadczenia jako coraz bardziej wszechstronne i gruntowne.

CO TO JEST

**FEMY?**

**KREM DO ODWŁOSIENIA  
DLA KAŻDEJ NIEWIASTY**

Bez golenia w 10-ciu minutach  
znikają włosy na rękach, bro-  
dzie itp. bez swędzenia skóry  
ani jej zaczerwienienia.

Skutek gwarantowany—w przeciwnym  
razie zwracamy pieniądze.

**FEMY MYDŁO  
ODWŁASIAJĄCE**

w ciemności świecące—niezbędny śro-  
dek pomocniczy do usuwania włosów.

— WSZĘDZIE DO NABYCIA —

Generalne zastępstwo na Polskę  
Hurtowny Skład Perfumeryjny  
**A. Nelken i A. Mendelsohn**  
Warszawa, Nalewki 36. Tel. 144-82

### Notatki literackie

ZGON ZNAKOMITEGO POETY  
NIEMIECKIEGO

Poezja Rainera Marji Rielkego była kaplicą wzniosłego kultu dla wartości duchowych, w Niemczech niebardzo szanowanych, bo szukających oparcia w człowieczeństwie, wyjarzmionem z egoizmów, wojen i przesądów. Miłość przyświecała wzruszeniom artystycznym i koncepcjom moralnym twórcy „Księgi Obrazów”. Urodził się R. M. Rielke w Pradze Czeskiej. Wiele lat spędził w Rosji i Francji. Jako język ojczysty uznał niemiecki, tworzył jednak i po francusku. Dużo rozgłosu zdobyła jego książka pt. „Na nutę miłowania, jako i śmierci korneta Rielke”. Monografia o znakomitym rzeźbiarzu francuskim A. Rodinie została przełożona na język polski. Wiersze jego tłumaczyli Witold Hulewicz i Z. Rabska.

Liryka tego poety przesycona była uczuciami religijnymi „Godzinki” Rielkego zyskały rozgłos dzięki właśnie realizacjom tych stanów uczuciowych. Zmarł on w 29 Grudnia r. z. w Montreux, w Szwajcarii.

Zakłady Ogrodnicze

**C. ULRICH**

założone 1805 r. w Warszawie.

Spółka Akcyjna

Centrala — Ceglana 11, tel. 9-25

zawiadamiają, że wyszedł z druku

**CENNIK NASION**

**NA ROK 1927**

i na żądanie rozsyłany jest bezpłatnie





# NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI MINIONEGO TYGODNIA

## SEJM i RZĄD

*Budżet państwowy* na r. 1927 rozpatruje Sejmowa Komisja budżetowa w trzecim czytaniu. Największe zainteresowanie budzą kredyty inwestycyjne dla wojska.

W sprawie przyszłej ustawy prasowej postanowił rząd zasięgnąć opinii Związku syndykatów dziennikarskich, które niewątpliwie bronić będą tylko wolności prasy lecz nie swawoli.

Rokowania o pożyczki inwestycyjne dla Polski są prowadzone z zagranicznymi finansistami. Mają posłużyć na elektryfikację Polski i na budowę kolei z Bydgoszczy do Gdyni.

Sądy doraźne na całym terenie państwa z wyjątkiem powiatów centralnych przedłużono na dalsze sześć miesięcy. Plaga bandytyzmu nie znikła jeszcze całkowicie.

## SPRAWY POLSKIE

Umowa zbiorowa w rolnictwie została podpisana przez Związek ziemian i Związek robotników rolnych. Nowy rok rozpoczyna się pomyślnie zgodną współpracą.

W obronie d-ra Łukaschka wystąpiła prasa niemiecka. Czyżby to potwierdzało przysłowie o nożycach, które się odzywają?

P. Calonder, prezes mieszanej komisji w Katowicach, nie wiedział nic o szpiegowskiej aferze, i zajmuje w całej sprawie bardzo poprawne stanowisko.

Gdańskowi życzył van Hamel na Nowy Rok harmonijnego pożycia z zagranicą a zwłaszcza z Polską. Nacjonaliści zapewne niezbyt mile powitali te życzenia.

## POLITYKA ZAGRANICZNA

Przesilenie niemieckie stało na martwym punkcie. Próby uzyskania poparcia centrum dla koalicji małej prawicy zawiodły. Oficjalne rokowania z partjami rozpoczynają się dnia 10 b. m.

Rząd Waldemarsa rozstrzelał kilku komunistów, co niesłychanie zaostriżyło jego stosunki z Bolszewją. Zaś wydalenie 3 niemieckich dziennikarzy z Kłajpedy ochłodziło nieco sympatje Niemiec dla Kowna.

Ministrowie państw bałtyckich zjechali się w Tallinie, aby naradzić się nad sprawami bieżącej polityki, a w szczególności w sprawie traktatu z Rosją o nieagresji.

Traktat arbitrażowy niemiecko - włoski podpisano w Rzymie. Ma on być kontynuowaniem polityki z Locarna i jest raczej umową prawną, niż polityczną.

Nowy gabinet jugosłowiański pod prezesurą Usunowicza składa się z radykałów i horwatów. Dwie teki zarezerwowano dla słoweńców.

Zamęt w Chinach rośnie. Dyplomacja światowa nie wie, czy traktować z rządem pekińskim czy kantońskim i dlatego trwa rozważnie w obserwacyjnym wyczekiwaniu.

W Nikaragui wybuchła wojna domowa. Z powodu interwencji floty Stanów Zjednoczonych zarysowuje się nowy konflikt z Meksykiem.

## Książki nadane do redakcji

M. Romayko. Kolej a wojna lotniczo-gazowa. Poznań.

General Herz. Artylerja. Przełożył z francuskiego Włodzimierz Onaciewicz. War-szawa 1926. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

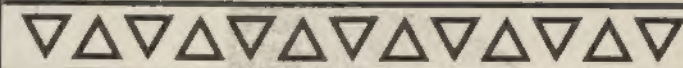
Christine Frederick. Naukowa organizacja w gospodarstwie domowym. Tłom. M. Romanowa. Warszawa 1926.

## Uniwersytecka Szkoła Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie

otwiera nowy Kurs od 15-go lutego 1927 roku

Nauka trwa 2 lata i 1 miesiąc; przyjmuje się tylko internistki. Wykształcenie: 6 klas gimnazjalnych, lub równorzędne.

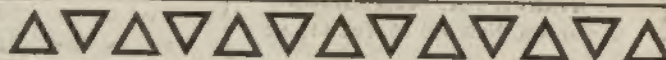
Zgłoszenia: Dyrekcja Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek. Kraków. Kopernika 25



PERFUMA  
WODA  
MYDŁO  
PUDER

# KALIA

J. S. STERNIEWICZ ♦ POZNAŃ







# W jaki sposób uczynić każdy posiłek rozkoszą!

W myśl twierdzenia słynnego lekarza nie należy żyć, aby jeść, lecz odżywiać się, aby móc należycie wykonywać swe obowiązki.

Pożywienie nieodpowiednie wywołuje zły wygląd, zaburzenia żołądkowe, psuje humor, zmniejsza siły do pracy, zakłóca sen i t. d. Stąd wniosek, iż w kwestji odżywiania jakość pokarmu jest ważniejsza od ilości.

Wychodząc z tego założenia, Ovomaltine stanowi prawdziwą rozkosz zarówno dla podniebienia, jak i dla żołądka. Jako pokarm wysoce odżywczy, łatwostrawny i o miłym smaku, dostarcza ona organizmowi

wszystkich niezbędnych dlań substancji, nie obciążając przytem organów trawiennych.

Początkowo przeznaczona jedynie dla chorych, wkrótce stała się Ovomaltine rannym posiłkiem każdego pracującego człowieka.

Niech nam wolno będzie przytoczyć przykład.

## Sprawozdanie lekarza:

„..... lecz ilekroć najstarsza i najmłodsza djeta zawiedzie, otrzymamy zawsze dobre wyniki, stosując Ovomaltine 'e.“

Ovomaltine wnosi zdrowie i radość do pokoju chorego, smakuje każdemu i jest nadzwyczaj łatwostrawna. Daje ona siły i odporność, jakich potrzebuje każdy, aby stawić czoło ciężkim warunkom współczesnego życia.



*Mała przedtem bledziutka, rozkwitła jak róża... to też cała rodzina zaczęła przyjmować Ovomaltine 'e.*

## OVOMALTINE

*podtrzymuje i zwiększa  
siły.*

Dr. A. WANDER S. A., BERN

Firma założona w 1865 r.

Stosując Ovomaltine 'e rano, uczynicie rozkosznem wasze pierwsze śniadanie.

Ovomaltine 'e przyrządza się bardzo szybko: rozpuścić 2 łyżeczki do herbaty w filiżance gorącego mleka (nie gotując) i ośłodzić do smaku. Otrzymamy wyborny napój odżywczy, wysoko ceniony również podczas wycieczek.

W sprzedaży wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych. Żądajcie prób bezpośrednio od fabryki.

## Próba strawności Ovomaltine 'y.

z zastosowaniem sztucznego soku żołądkowego.

na lewo: roztwór 2 łyżek na prawo: czyste mleko do herbaty Ovomaltine 'y w wodzie. krowie.

Poniższe wykresy wskazują całkowitą ilość białka zawartego w każdej z tych cieczy.



Ilość rozpuszczonej proteiny:

	A. na początku dwudziesto- godzinna	B. po 1 godzinie	C. po 2 godzinach	D. po 4 godzinach
Mleko	22,3%	28,6%	31,8%	33,3%
Ovomaltine	47,2%	55,3%	62,0%	63,5%

Stwierdzamy, iż Ovomaltine na początku procesu zawiera podwójną ilość protein, przyczem proces jej trawienia odbywa się o wiele prędzej.



## Humor francuski

Sąsiadki młodej wdowy, pani Róży, zanudzały ją zawsze propozycjami matrymonjalnymi.

Po jakie licho chcecie wydać mnie za mąż — odpowiadała im zwykle — mam psa, papugę, kota!

— Ależ — rzekła sąsiadka — to nie zastępuje mężczyzny.

— Jakiś! Mówisz, że to nie zastępuje mężczyzny? Pies ujada bezustannie, papuga klnie cały dzień, a kot spędza całe noce poza domem...

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę.

— Ależ owszem, proszę bardzo.

— Powinien pan zapuszczać rolety u siebie, gdyż co wieczór około dziesiątej widać przez story, jak pan ściska i całuje swoją małżonkę.

— Co za żart, o tej porze jestem zawsze w klubie.

Podczas głośniego procesu o obrażę moralności sala sądowa była nabita. Wśród publiczności znajdowała się wielka ilość ciekawych eleganckich pań z towarzystwa. Bo przewodniczący, obawiając się zbyt drastycznych szczegółów, uprzedził o tem publiczność.

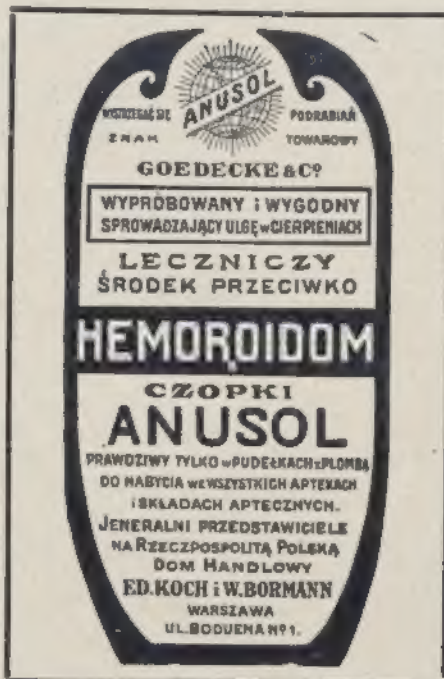
Nikt nie ruszył się z miejsca. Wobec tego przewodniczący odezwał się.

— Ponieważ szczegóły tych rozpraw nie nadają się dla wrażliwych dusz kobiecych, proszę, by szanujące się panie opuściły salę.

I znowu nikt nie ruszył się z miejsca.

— Teraz, gdy szanujące się panie opuściły salę, niech woźni usuną resztę.

(h)



## Humor angielski

— Wiesz, zwierza się Mary przyjaciółce, — zdecydowałam się poślubić Toma.

— Dlaczego Toma?

— Jest to jedyny człowiek, z którym rozwiodę się bez żalu.

— Panowie — zawołał mówca — każdy kieliszek wódki, przez was wypity, skraca wam życie o godzinę! Jest to jednoznaczny sąd wszystkich lekarzy. Powtarzam wam, każdy kieliszek wódki skraca życie o jedną godzinę!...

W tej chwili wśród publiczności rozległa się krzyk rozpaczy. Do estrady zbliża się jakiś człowieczyna szlochając:

— Panie prelegencie, to jest straszne!

— Co jest straszne?

— To, co pan mówił! To jest okropne! Przed chwilą zrobiłem własny rachunek. Powinienem być umrzeć przed czterdziestoma laty.

Jaka jest różnica między chrześcijaninem a żydem:

Chrześcijanin, gdy dzień jest piękny, dziękuje Bogu za pogodę i słońce. A żyd mówi: Miły klimat.

(h)

## INFORMACJA ZAŁ. W 1920 R. PRASOWA WARSZAWA POLSKA UL. BRACKA 5 TEL. 241-53

AGENCJA I PORADNIA Prasowa w SPRAWACH PROPAGANDY REKLAMY ORAZ PRENUMERATY I BIURO WYCINKÓW Z ARTYKUŁAMI ORAZ WIADOMOŚCIAMI Z GAZET I CZASOPISM Z CAŁEGO ŚWIATA KORESPONDENCJE WE WSZYSTKICH WIELKICH MIASTACH EUROPY I AMERYKI

ZAŁATWIA WSZELKIE ZLECENIA W ZAKRESIE PRENUMERATY PISM KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH, REKLAMY I PROPAGANDY W PRASIE ORAZ DOSTARCZA NA ZAMÓWIENIE WYCINKI POTRZEBNE DLA KAŻDEGO BIURA, INSTYTUCJI, URZĘDU, DZIAŁACZA I FACHOWCA



Do nabycia w składach aptecznych, farb i mydlarniach

## ZNAKOMITA HERBATA E. W. I. G.

W ORYGINALNEM OPAKOWANIU

Zawiera jubileuszowe bony premjowe w odcinkach od 5 do 1000 zł.

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

## Chcesz mieć w czystości utrzymywane mieszkanie, Kantor, czy

biuro, korzystaj ze stałych usług firmy **I. Elżanowska**

Warszawa, ul. Żórawia 38 — 10

Tel. 290-32

Kantor czyszczenia okien wystawowych, wstawiania i kitowania szyb, cyklinowania i froterowania posadzek, reparowania linoleum, odkurzania mebli i dywanów elektrycznymi odkurzacami. Pakowanie okien na zimę



# NAJLEPSZA REKLAMA

TO UMIEJĘTNIE I GUSTOWNIE WYKONANE DRUKI HANDLOWE, KTÓRE  
DOSTAJĄ SIĘ DO RĄK KUPUJĄCEJ PUBLICZNOŚCI, A WIĘC  
KATALOGI, CENNIKI, CYRKULARZE, BLANKIETY, POCZTÓWKI I T. P.

ŹŁE WYKONANA REKLAMA — IDZIE DO KOSZA,  
WYTWORNA REKLAMA — PRZYCIĄGA ODBIORCÓW  
POWIĘKSZA OBRÓT I ZYSKI

REKLAMA HANDLOWA STANOWI NASZĄ SPECJALNOŚĆ.

## ZAKŁADY DUKARSKIE GALEWSKI I DAU

WARSZAWA, ORDYNACKA 6  
TELEFON 6-75 i 7-55. (DOM WŁASNY)



**WINA** „ZŁOTA RENETA”  
„KRÓLOWA RENET”  
i MIÓD „PIAST”

FIRMY

**H. MAKOWSKI**

KRUSZWICA

ODZNACZONE NAJWYŻSZEMI  
NAGRODAMI NA WYSTAWACH

== „ŻĄDAĆ WSZĘDZIE” ==

**Za 4 zł. 95 gr.**

(kwartalnie)

otrzymasz w prenumeracie co tydzień jedną książkę:  
**6 tomików naszych wydawnictw 95-tio groszowych** które po  
żelaznych serii Londona, Benoit'a i innych nie potrzebują reklamy, wydaniu

**6 tomików żółtej biblioteczki hist.-geogr. „Rój”** tak dobrze zna-  
jącego kraj i powszechnie cenionej za pierwszorzędne pióra, aktualność, nej w każdym  
pomysłowość i rzetelność.

Po nad to **tylko prenumeratery** nasz będą mieli prawo za nadesłaniem  
2 zł. 50 gr. otrzymać wraz z przesyłką do wyboru z **pośród kilku wydawa-**  
nych przez nas w **1 tom wytwor y, kilkonastoarkuszowy** w cenie  
każdym kwartale: **1 tom wytwor y, kilkonastoarkuszowy** księgar-  
skiej najmniej 4 złote (z tego typu jest np. ostatnio przez nas wydana  
„Młodość Samuraja” Wacława Sieroszewskiego).

W ten sposób „Rój” oferuje: a) beletrystykę, b) aktualności podróży-  
nicze, historyczne i t. p., c) możliwość kompletowania istotnie wartościowej  
Żądać prospektów! biblioteki. Żądać prospektów!

„RÓJ” s.f.z o. o. Warszawa, Kredytowa 1. P. K. O. 9880

### PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA”

SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755.

Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 15, (i'a -i Europ.).

W ŁODZI: Biuro dzienników ul. „PROMIEN” Piotrkowska 8,  
Księgarnia „Czytaj” Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH”

CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięczną

4 zł. 40 gr., kwartalnie 13 zł., z odroczeniem do domu miesięczną

4 zł. 60 gr., kwart. 14 zł. 40 gr., na prowincji miesięczną 5 zł., kwartalnie 15 zł.

Zagranicą miesięcznie 7 złotych.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych 1 zł. 20 gr.

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA.